

A 2897 II

sigma

Σ 7 —47—
1972/73

MAGAZYN PROBLEMOWO-INFORMACYJNY
POLITECHNIKI WROCŁAWSKIEJ



Odezwa rady uczelnianej SZSP

DO STUDENTÓW POLITECHNIKI WROCŁAWSKIEJ

W dniach 26-28 marca br. odbył się Kongres Studentów Polskich z udziałem delegatów Zrzeszenia Studentów Polskich oraz działających na wyższych uczelniach Związku Młodzieży Socjalistycznej i Związku Socjalistycznej Młodzieży Wiejskiej.

Powołano Socjalistyczny Związek Studentów Polskich — jedną, ideowo-polityczną, masową i samodzielną organizację studencką o powszechnym charakterze działania.

Powołanie SZSP stało się ukoronowaniem wielomiesięcznej dyskusji, dotyczącej ruchu studenckiego, jaka toczyła się w naszym środowisku. Związek określił swoje miejsce w życiu społeczno-politycznym kraju w Deklaracji Ideowej.

Na pierwszym Zjeździe SZSP sprecyzowano program działania, uchwalono statut oraz wybrano władze organizacji.

Program SZSP stwarza każdemu studentowi możliwość aktywnego udziału w jego realizacji. Nowa organizacja będzie aktywnie uczestniczyła w życiu społecznym kraju, zajmując się wszystkimi aspektami życia studenckiego. Wymagać będzie aktywnego, rzetelnego stosunku do studiów i obowiązków członka organizacji.

Koledzy!

Chcemy, by nowa organizacja — Socjalistyczny Związek Studentów Polskich, rozpoczynający działalność w murach naszej Uczelni objęła swoją działalnością jak najszersze grono naszego środowiska. By była organizacją dopingującą w formach swej pracy do aktywnego udziału w życiu naszej Uczelni wszystkich studentów. Od wszystkich nas zależy jaka ta organizacja będzie, od dojrzałości intelektualnej całego środowiska zależy wykorzystanie tej wielkiej szansy jaką jest stworzenie jednej, silnej organizacji studenckiej. Wykorzystajmy tę szansę dla dobra każdego z nas, dla dobra całej braci studenckiej.

SKŁAD PREZYDIUM RADY UCZELNIANEJ SZSP POLITECHNIKI WROCŁAWSKIEJ

SEKRETARIAT

Przewodniczący — RYSZARD WASNIEWSKI

V-ce Przewodniczący — KAZIMIERZ KOWAL

V-ce Przewodniczący — JACEK UCZKIEWICZ

Sekretarz — JERZY KALETA

Sekretarz — LESZEK KOSZAŁKA

Sekretarz — TOMASZ WIELICKI

4. Komisja d/s Młodej Kadry Naukowej
— LESZEK KOSZAŁKA

5. Komisja Samorządności
— JACEK UCZKIEWICZ

6. Komisja Organizacyjna
— KAZIMIERZ KOWAL

7. Komisja Kultury
— MAREK KOPFF

8. Komisja Ekonomiczna
— WITOLD WIŚNIEWSKI

9. Komisja Zagraniczna
— JERZY HENDRYSIK

10. Komisja Sportu i Turystyki
— JÓZEF RAKOWSKI

11. Komisja Finansowo-Adminstracyjna
— BARTOSZ LIPIŃSKI

12. Komisja d/s Filii
— GABRIEL FILIPCZAK

13. Komisja Pracy i Czynów Społecznych
— ZBIGNIEW CZAJKIEWICZ

Przewodniczący Komisji RU SZSP

1. Komisja Propagandy — TOMASZ WIELICKI

2. Komisja Szkolenia — JERZY KALETA

3. Komisja Nauki — JACEK HUNEK

KONGRESOWE DNI

Niedziela, 25.03.1973.

Poniedziałek, 26.03.1973.

Wspaniała, wiosenna pogoda. Z „almaturkami” przewieszonymi przez ramie zdążaliśmy do auli w Gmachu Melioracji Akademii Rolniczej. Tam odbyło się uroczyste pożegnanie 95 delegatów naszego województwa przez władze Uczelni i władze partyjne miasta. Dużo wzniosłych i uroczystych słów, uśmiechy, kwiaty, telewizja, tłum fotografów. Wokół stołów znajome twarze mimo, że to aktywi trzech organizacji ośmiu uczelni Wrocławia. To efekt spotkania większości delegatów na zgrupowaniu w Szklarskiej Porębie, gdzie dyskutowano materiały przedkongresowe. Gorące prośby: „Wierzymy, że będziecie godnie reprezentować nasze miasto” — a potem zajmujemy miejsca w luksusowym autokarze. Jeszcze ostatni miły akcent wrocławski. Każdy z ośmioosobowej delegacji na VIII Kongres ZSP otrzymuje goździk od grupki kolegów. To inicjatywa niezastąpionej Magdy. Reprezentowało naszą Uczelnię piętnastu delegatów: Rysiek Waśniowski, Dyzio Saniawa, Rysiek Wojtaszek, Marek Tłaczała, Kazik Kowal, Bogdan Bazan, Jacek Uczkiewicz, Jurek Kaleta, Tomek Wielicki, Jacek Hunek, Witk Wiśniewski, Michał Słaby, Włodek Kaczmarczyk, Rysiek Zybura i ja. Jechali również z nami koledzy z instancji wojewódzkich i centralnych oraz trzyosobowa grupa gorących aktywistów, która mimo braku kart uczestnictwa pragnęła wziąć udział w obradach.

Po siedmiogodzinnej jeździe w słońcu, wdychając na nielicznych postojach zapach wiosennego lasu, wjeżdżamy do Warszawy. Na placu Konstytucji wita nas delegacja kilkunastu studentów Politechniki Warszawskiej i członkowie Rady Naczelnej ZSP. Kwiaty, uśmiechy i chóralne *Warszawa da się lubić*. Z wpiętymi na piersi syrenkami wkraczamy w progi naszych warszawskich domów, a mówiąc ściśle wjeżdżamy windą, bo większość nas mieszkała na IV i V piętrze hotelu MDM. Za oknem mojego jednoosobowego apartamentu Pałac Kultury, Ściana Wschodnia, nowy hotel „Forum” i zgiełk warszawski. Zafascynował nas wysoki poziom organizacyjny. Po obfitej kolacji (jak się okazało było to tylko preludium do kulinarnych orgii), otrzymaliśmy teczkę tzw. „kongresówki” wypełnione materiałami kongresowymi. Większą część wieczoru spędziliśmy na studiowaniu sprawozdania z działalności Rady Naczelnej ZSP, raportu o stanie oświaty i programu Kongresu. Szczególnie zafascynowani byli Dyzio i Jurek, gdyż dowiedzieli się, że przyjęto ich zgłoszenia do dyskusji plenarnej. Znaleźliśmy jednakże chwilę czasu i odwiedziliśmy klub studentów „Nowy Medyk”. Z zaskocznością oglądaliśmy duże sale rozmieszczone na trzech poziomach. „Żeby tak u nas” — marzyliśmy.

Po powrocie dyskusja na korytarzu i w pokojach o naszych sprawach; staraliśmy się odpowiedzieć na pytanie — jak powinna działać grupa studencka, jak organizacja może wciągnąć do pracy wszystkich członków. Minuty w zapalanej dyskusji miałyby blyskawicznie. Zasypialiśmy, gdy za oknami budził się dzień.

Każdy dzień Kongresowy rozpoczynał się o godzinie siódmej. Po śniadaniu autokarem udaliśmy się do Filharmonii Narodowej. Na skrzyżowaniach ulic olbrzymie emblematy organizacji — znak Kongresu: przymknięta książka o biało-czerwonych kartkach i hasła „Reklama prawie tak dobra jak u nas” — stwierdzali niektórzy. W gmachu obrad atmosfera napięta i uroczysta. „Waleci” zasmuceni zostali poza kordonem porządkowych, ale jak się okazało było to jedyne posiedzenie, w którym nie uczestniczyli.

Punktualnie o godzinie 9-tej przewodniczący Rady Naczelnej ZSP kol. Stanisław Ciosek otwiera obrady VIII Kongresu ZSP. Wita gości m. innymi tow. Szlachcica, byłego przewodniczącego RN ZSP, tow. Olszowskiego oraz ministra SzWiT prof. Kaczmarka. Po jednogłośnie zatwierdzeniu porządku obrad rozpoczyna się sesja plenarna. Po referacie kol. przewodniczących i stwierdzeniu przez komisję mandatową prawomocności obrad (uczestniczyło 99,6% delegatów, w tym 66,5% studentów) przemawiało 10 dyskutantów reprezentujących większe ośrodki studenckie. Wnioski i postulaty wiernie chyba odzwierciedlały tendencje studentów. Większość dyskutantów przedstawiała, powołując się na uchwały konferencji, uczelnianych, zalety struktury monoorganizacyjnej w środowisku i stwierdzała konieczność stworzenia jednej, silnej studenckiej organizacji. Koncentrowano się w dyskusji przede wszystkim na problemach samorządnościowych i działalności organizacji w sferze nauki. Postulowano zmianę modelu wychowawczego, prowadzenie samowychowania w grupie studenckiej, zwiększenia samorządności wewnątrzorganizacyjnej, przekształcenie opiniodawczej funkcji organizacji we współdecydującą, otwartość organizacji. Mówiono o konieczności przełamywania bariery między pracownikami naukowymi, a studentami, o zwiększeniu rangi studenckiego ruchu naukowego — poprzez kompleksowe działanie i większe zainteresowanie władz Uczelni. Stwierdzono pewne niedoinformowanie środowiska w czasie dyskusji przedkongresowych i zwrócono uwagę na problem biurokracji. Wielu dyskutantów stwierdziło, że w ostatnim okresie wzrósł autorytet organizacji ZSP, a dorobek jej jest bardzo duży — wymierny i niewymierny — w postaci zmian osobowości ludzkich i wartości moralnych. Mówiono o konieczności stworzenia z tych wartości i osiągnięć wstępnej bazy ruchu studenckiego w nowym kształcie organizacyjnym. W trakcie dyskusji głos zabrał przewodniczący Rady Uczelnianej ZSP Politechniki Dyzio Saniawa, prezentując stanowisko naszej Uczelnianej Konferencji. Po dyskusji udzielono jednogłośnie absolutorium ustępującym władzom i zgotowano owację kol. Cioskowi i członkom Komitetu Wykonawczego RN. Na zakończenie sesji o godz. 12.15 przyjęto prawie jednogłośnie uchwałę o przekształceniu Kongresu ZSP w Kongres Studentów Polskich z udziałem delegatów trzech organizacji. Po południu zaopatrzeni w manda-

ty zasiedliśmy na sali w gronie 810 delegatów. Ten ważny moment historyczny zapoczątkowało wprowadzenie sztandaru trzech organizacji. Powołano prezydium Kongresu, w którym byliśmy reprezentowani przez Bogdana Bazana i Komisję Kongresową: Statutową, Mandatową, Wyborczą.

Po powitaniu zaproszonych gości referat przedstawił kol. Ciosek. W trakcie sesji plenarnej prezentowali swoje poglądy następni mówcy. Jako jeden z pierwszych zabrał głos Jurek Kaleta i przedstawił model nowoczesnego kształcenia oraz dyskutowane na naszej Politechnice koncepcje Uniwersytetu Technicznego. Spośród pozostałych głosów najciekawsze moim zdaniem, to wypowiedź delegata warszawskiego, który przedstawił cztery aspekty działalności organizacji: masowość, powszechność działania, wychowawcza rola i reprezentatywność. Przedstawiciel Uniwersytetu Jagiellońskiego mówił o koncepcjach samorządowych m. innymi przedstawił model funkcjonujący na UJ, gdzie w organach kolegialnych studenci mają 1/3 reprezentantów. Delegat wrocławskiej AM zwrócił uwagę na wewnętrzne funkcjonowanie organizacji, postulował stworzenie takiego modelu, żeby informacja o poczynaniach organizacji docierała do każdego studenta. Jednocześnie postulował prowadzenie rywalizacji poprzez organizację „ligi grup”, lub „ligi Instytutów”. Pozostali delegaci skupili się na problemach więzi środowiska studenckiego z innymi środowiskami, wypracowania prawidłowej sylwetki pracownika naukowo-dydaktycznego, studenckiego ruchu naukowego, form działania umożliwiających kształcenie dobrych postaw federacji organizacji młodzieżowych. Sprawne Biuro Organizacyjne wychodząc z sali obrad delegatom serwowało Biuletyn Informacyjny zawierające podane skrótowo najważniejsze wydarzenia ostatnich godzin obrad. Wieczorem goście i delegaci spotkali się w Teatrze Wielkim na Wielkim Galowym Koncercie. Ani chwili wytchnienia, przez dwie godziny feeria światła, dźwięków, ruchu. Magda Umer, *Anawa*, Chóry i Zespoły Taneczne (naturalnie artyści studenckcy), Bogusław Metz i *Pantomima*. Szkokujące dekoracje i wykorzystanie ruchomych podłóg, zapadni. Bez konferansjerki (doskonała rzecz). Reżyserowi koncertu kierownikowi *Teatru STU* Pawłowi Jasińskiemu zgotowano zasłużoną owację. Uśmiechnięty tłum wychodząc nucił: *Z jednej strony śmiech szalony* (za J. Stanisławskim) i był zgodny w swoich ocenach. Było to bardzo dobre. A późnym wieczorem w stylowej kawiarence przy *Coca-Coli* dalszy ciąg dyskusji w gronie kilku osób: Płonące spojrzenia, fascynacja i poszukiwania... co robić, jak zrobić, żeby było jeszcze lepiej.

Wtorek 27.03.1973

Terkot telefonu. Z wysiłkiem powrót do rzeczywistości i radość z ważności chwili, ze wspaniałej pogody. Rzut oka na sznury samochodów za oknem. Spotkanie z kolegami. Otrzymujemy materiały, projekt uchwały i deklaracji.

W trakcie porannej sesji dyskusja plenarna. Ciekawe wystąpienia delegata KUL z Lublina, który twierdzi, że jesteśmy świadkami narodzin młodzieży jako siły społecznej, że następuje rewolucja mentalna w środowisku studenckim; socjalizm jest budowany i powinien być również rękami ludzi wierzących i powinien być definicją i kluczem w działaniu, a nie tylko nazwą — podkreślał. Również delegat Uniwersytetu Wrocławskiego przeprowadza interesujące rozmowy, z którego wynika, że jednym z naczynnych zadań organizacji winno być integrowanie środowiska na bazie wyrównania różnic społecznych, a można to osiągnąć w pełni poprzez wzmożone działanie na stykach międzyśrodowiskowych. Dyskusja podobnie jak w dniu poprzednim ma charakter polemiczny. Z naszej uczelni Rysiek Zybura, jako szósty Wrocławianin przedstawił na Kongresie problemy studentów pracujących z goryczą stwierdzając, że od szeregu lat postulaty tej grupy studentów nie zostają zrealizowane. Niestety u wielu pozostałych dyskutantów dało się zauważyć pewną manierę nadużywania słów wielkich, patosu, retorycznych pytań, operowanie ogólnikami i sloganami, niektóre wypowiedzi przekształcając się w popisy krasomówcze wyzbyte konkretnej treści.

Po stwierdzeniu prawomocności obrad przez przewodniczących Komisji Mandatowej (na sali było 784 delegatów, w tym 83% członków ZSP, 43% członków ZMS i 34% ZSMW) poddano głosowaniu uchwałę kongresu. Zdecy-

dowaną większością głosów Kongres o godz. 12,15 powołał Socjalistyczny Związek Studentów Polskich jako organizację środowiska studenckiego.

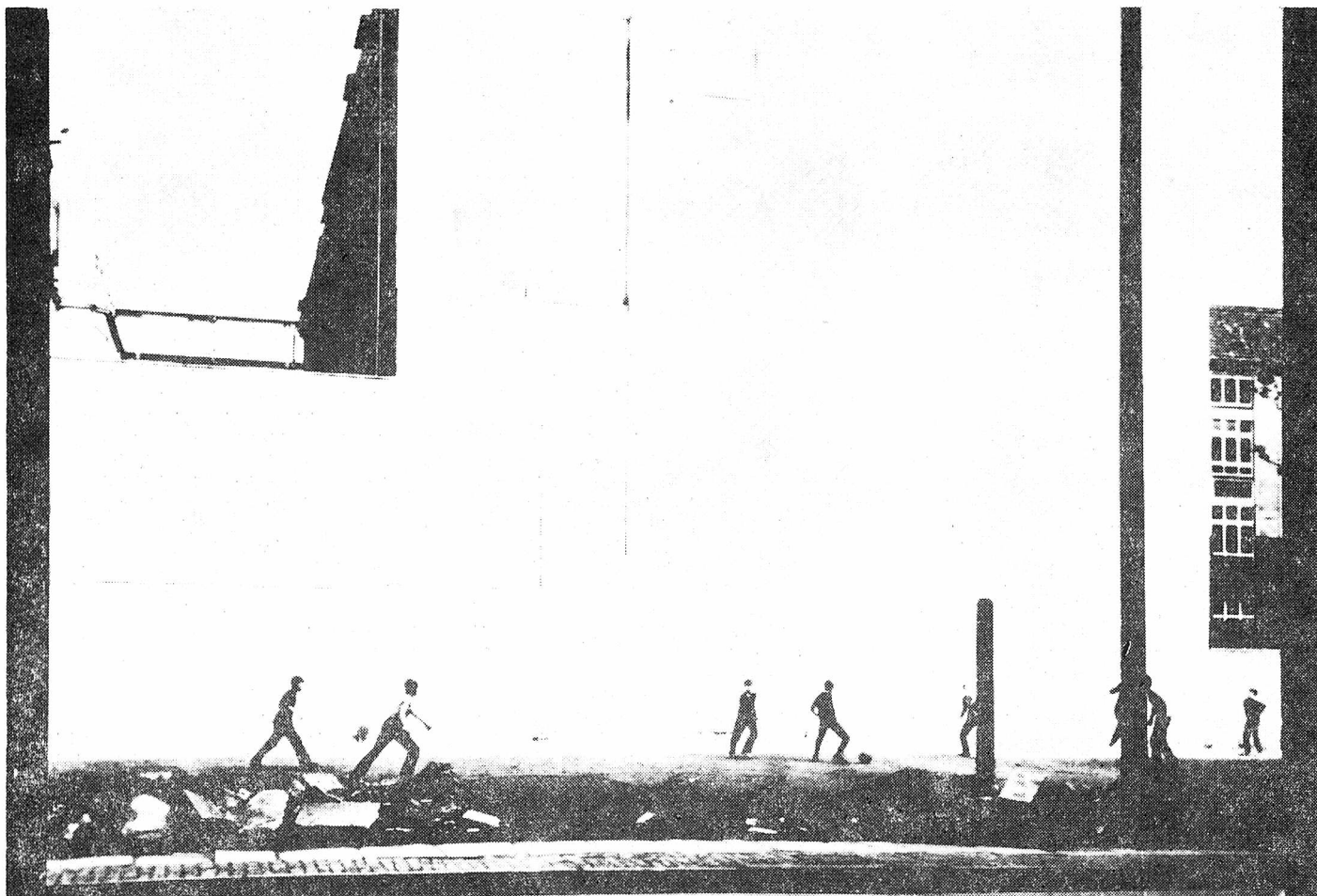
W trakcie obrad plenarnych przedstawiono wszystkim delegatom projekt statutu, w którym wystąpiły pewne zmiany w stosunku do projektu dyskutowanego wcześniej. Nowy projekt nie przewidywał członkostwa w organizacji słuchaczy szkół pomaturalnych i pracowników uczelni nie naukowo-dydaktycznych i sprecyzował nazwy instancji organizacyjnych. W trakcie burzliwej dyskusji zgłoszono 7 poprawek z czego dwie zostały wprowadzone (o maksymalnie dopuszczalnej ilości zmian w składzie instancji między wyborami oraz minimalną 325 do 280 większością głosów o przeprowadzeniu w Instytutach wyborów bezpośrednich — w projekcie proponowano wybory pośrednie). Z poprawkami zatwierdzono statut prawie jednogłośnie. Również zatwierdzono deklarację ideową SZSP. Podjęciem tych uchwał Kongres zakończył obrady, a rozpoczął obrady I Zjazdu SZSP z udziałem tych samych delegatów. Zjazd zaproponował kontynuację obrad w zespołach problemowych.

W godzinach południowych delegaci zostali podzieleni na grupy. Poszczególne grupy zostały zaproszone przez władze państwowe i organizacje społeczne m.in.: MON, CRZZ, TPPR, Ministerstwo Kultury, MSWiT, Min. Oświaty i Wychow., FSO. Uczestniczyłem ze swoją grupą w spotkaniu w ministerstwie Budownictwa. Minister

Karkoszka w dwugodzinnej dyskusji odpowiedział na szereg pytań i przedstawił zamierzenia w zakresie szkolenia kadr budowlanych i wdrażania nowych technologii. Zapewnił, że fakt dotychczasowego niedoinwestowania Wrocławia ulegnie zmianie. Przyjemną atmosferę zapewniła odpowiednia oprawa i wesołe usposobienie ministra.

Zespoły problemowe obradowały wieczorem w gmachu SGPiS. Uczestniczyłem w dyskusji zespołu, który skupić się miał na sprawach organizacji w sferze nauki i nauczania. Niestety, jak większość kolegów z innych zespołów, nie byłem podbudowany dyskusją. W moim zespole podnoszono problemy ruchu naukowego, współzawodnictwa, adaptacji studentów I roku. Operowano w większości ogólnikami, nie przedstawiono nowych form realizacji zadań. Odnieśliśmy wrażenie, że tak w koncepcjach jak i formach działalności aktualnie wyprzedzamy większość uczelni. Jesteśmy chyba na wyższym etapie działalności. W ramach relaksu po obradach odwiedziliśmy nowowytbudowaną *Stodołę* — klub studentów Politechniki Warszawskiej i byliśmy uczestnikami programu *Stodoła Shaw*. Dyskoteka, występ kabaretu, prezentacja komputera i filmy. Szczególnie utrwalił się nam ten film dokumentalny w którym starano się zawrzeć historię powojennego ruchu organizacyjnego studentów. Konfrontacja tamtych ludzi i nas, ówczesnych i dzisiejszych warunków. Czas upłynął błyskawicznie. Ciężki będzie jutrzejszy ranek.

Fot. J. BORTKIEWICZ



Rady Instytutowe Młodzieży

Dla niektórych najciekawszy moment — sprawy personalne. Po każdej plenarnej dyskusji, której poziom oceniliśmy jako wysoki — przystąpiono do wyboru najwyższych instancji organizacji. Przewodniczący Komisji Wyborczej przedstawił listę 105 kandydatów do Zarządu Głównego i kandydatów do Głównej Komisji Rewizyjnej i Naczelnego Sądu Koleżeńskiego i scharakteryzował poszczególne osoby. Większością głosów uchwalono jawne głosowanie. Zdecydowanie zaakceptowano przedstawione kandydatury. W wybranych władzach naszą Uczelnię reprezentują Rysiek Waśniowski i Tomek Wielicki w Zarządzie Głównym SZSP, Zbyszek Korzeń w Głównej Komisji Rewizyjnej oraz Lechosław Blach w Nacelnym Sądzie Koleżeńskim. W czasie przerwy obiadowej nastąpiło ukonstytuowanie się wybranych władz i powołanie prezydium i sekretariatu. Jednogłośnie na stanowisko przewodniczącego SZSP wybrano kol. Eugeniusza Mielcarkę byłego vice-przewodniczącego Rady Naczelnej ZSP. W składzie Prezydium znalazła się reprezentantka Wrocławia, studentka WSE Jolanta Kieruńczak. Popołudniowa sesja Zjazdu ułpłynęła w bardzo przyjemnej atmosferze. Uśmiechy, oklaski. Przemówienia gości. Tow. Szlachcic w imieniu Biura Politycznego KC PZPR podziękował za owocną, twórczą dyskusję. Oceniając wysoko dorobek ruchu studenckiego, szczególnie ZSP, wyraził przekonanie, że w przyszłości będzie conajmniej tak dobrze. Minister Kaczmarek przedstawił program udziału studentów we współgospodarowaniu Uczelni. Przedstawił sprawy samorządnościowe, stypendialne i formy nagród dla najlepszych studentów. Sekretarz CRZZ Lewandowski zapewnił, że decyzją CRZZ wszystkie uprawnienia związkowe ZSP zostają przeniesione do SZSP. Przewodniczący Międzynarodowego Związku Studentów wręczył sztandar tej organizacji SZSP. Wreszcie jednogłośnie przyjęto uchwałę programową i nowo wybrany przewodniczący podziękował za powierzone zaufanie. Owacyjnie przyjęto jego wystąpienie. Jeszcze raz gorąco podziękowano kol. Cieskowi i wszystkim gościom. *Gaudeamus igitur* śpiewane przez wszystkich na sali było końcowym akordem I Zjazdu SZSP.

W optymistycznym nastroju opuściliśmy salę obrad. Po 3 dniach prawie nieprzerwanym dyskusji i przemysłom wszystkich nas opanowała żądza: **DZIAŁAĆ ROBIĆ RZECZY KONKRETNE.**

Żegnając Warszawę myślami byliśmy już we Wrocławiu.

LESZEK KOSZAŁKA

Rada Instytutowa Młodzieży jest kolegialnym inspiratorem i koordynatorem procesu wychowawczego w instytucie oraz organem opiniodawczym władz instytutu w sprawach wychowawczych i socjalno-bytowych. W instytucie powołuje się jedną radę instytutową młodzieży dla wszystkich lat studiów na wniosek dyrektora instytutu, na okres 1 roku.

Do tej pory całością spraw dydaktycznych, wychowawczych i socjalno-bytowych zajmowały się Rady Pedagogiczne poszczególnych instytutów. Był to duży zakres obowiązków i jak się później okazało zbyt obszerny, aby organ mógł prawidłowo funkcjonować. Często pełnomocnik d/s studenckich a nawet opiekunowie grup nie byli zorientowani w wielu sprawach. Istniały dysproporcje między kwalifikacjami członków Rady a wciąż rosnącymi zadaniami. Wnoszono postulaty, podejmowano ocenę pracy grup studenckich nie zawsze słuszną ze względu na brak większej znajomości problemu. A realizacja podjętych zadań owiana była mgiełką tajemnicy.

W obliczu wejścia organizacji w federację, Rady Pedagogiczne byłyby dublowaniem organu plenarnego. Zrezygnowano więc z mało operatywnych Rad Pedagogicznych powołując Rady Instytutowe Młodzieży w celu realizacji procesu wychowawczego i socjalno-bytowego. Zakres zadań jest równie szeroki, a jednak dotyczy spraw bliższych środowisku studenckiemu. Generalnym punktem wyjścia RIM-ów jest opracowanie planu pracy wychowawczej w instytucie w oparciu o program i plan ogólnouczelniany. Zakres zadań obejmuje kontrolę nad właściwym wykorzystaniem środków przeznaczonych instytutem przez władze Uczelni na działalność wychowawczą. Więcej uwagi poświęci się ocenie pracy wychowawczej grup studenckich, przebiegu zajęć pedagogicznych przy jednoczesnym inicjowaniu form aktywizacji grup studenckich. Rady mocno wkraczają w sprawy socjalno-bytowe studentów oraz procesy adaptacyjne głównie studentów I roku studiów, które to problemy stanowią niejako całość. Analiza tych zjawisk pozwoli na opracowanie dalszego programu realizacji zasad przyznawania pomocy materialnej, zwłaszcza nagród i wyróżnień oraz pomocy materialnej z 10% puli Rektora.

Poszukiwanie przyczyn i źródeł niepowodzeń zwłaszcza studentów I i II roku oraz studentów zagranicznych, a jednocześnie inicjowanie planowanych poczynąń przyspieszających ich adaptację i socjalną aktywizację, okresowe analizy postępów w nauce zadecydują czy należy — a jeśli tak — to jakie organizować formy pomocy w nauce. Pięciodniowy tydzień studiów, zwiększenie czasu na odpoczynek oraz to, w jaki sposób wykorzystywany jest czas wolny przez studentów, nie pozostaje bez znaczenia. Rady biorą na siebie część odpowiedzialności za organizowanie form wypoczynku w zakresie działalności kulturalnej, sportowej, czy też organizowaniu pracy społecznie użytecznej.

Z całą odpowiedzialnością mogę stwierdzić, że jest to organ czysto studencki, albowiem w jego skład wchodzi: pełnomocnik dyrektora instytutu d/s studenckich, przedstawiciel organizacji partyjnej, przewodniczący grup oraz dwóch przedstawicieli organizacji studenckich, laureat konkursu im. Kopernika — członek Rady Uczelnianej Młodzieży. W niektórych posiedzeniach rady może uczestniczyć zastępca dyrektora instytutu d/s dydaktycznych. Wyraźnie zwiększony został udział młodzieży — młodzieży w pewnym sensie reprezentatywnej, wykazującej się dobrymi wynikami w nauce i aktywnością społeczną. Rady Instytutowe Młodzieży stanowią płaszczyznę do przeprowadzania zmian — ściślej: ich postulowania. Ma to być organ kierujący polityką wychowawczą w instytucie. Pragnę wyrazić nadzieję, że nie będzie to organ wnoszący tylko postulaty, ale będzie inspiratorem procesu wychowawczego na terenie instytutu, organem możliwie elastycznym. Należy jeszcze zagwarantować Radom prawo rzetelnej informacji o realizacji podjętych zadań, co brakowało Radom Pedagogicznym.

Należy jeszcze wspomnieć o powołaniu Rady Uczelnianej Młodzieży (tzw. RUM), w celu rozwoju samorządności młodzieży, współpartnerstwa w rozwiązywaniu problemów Uczelni. Stanowi ona organ opiniodawczy Rektora i Senatu w pracy wychowawczej, organizacji toku studiów i realizacji programu nauczania oraz rozwiązywania spraw socjalno-bytowych młodzieży studiującej. Skład Rady podkreśla duży udział przedstawicieli młodzieży, bowiem każdy instytut jest reprezentowany przez jednego, najlepszego studenta, wybranego w ramach konkursu o odznakę im. Kopernika. Jednocześnie w Radzie Uczelnianej Młodzieży zasiadają: przedstawiciel AZS, dwóch przedstawicieli organizacji studenckiej, przedstawiciel Stowarzyszenia Naukowego Studentów, kierownictwa Pionu d/s Studenckich, przedstawiciel KU PZPR. Członków Rady powołuje i odwołuje Rektor na wniosek uczelnianych instancji organizacji studenckich. Przy Radzie mogą działać komisje problemowe, obejmujące szczegółowy program zadań np.: komisja d/s domów studenckich i stołówek, komisja d/s sportu i rekreacji, komisja d/s ruchu kulturalnego studentów itp. Posiedzenia Rady powinny odbywać się co najmniej raz na 2 miesiące, zwoływane z inicjatywy przewodniczącego, na wniosek władz Uczelni, na żądanie co najmniej 50% członków Rady.

O tym, czy działalność nowych organów odbiegać będzie od starych zasad, o ich operatywności, przekonamy się już w niedługim czasie.

SZSP

Nasi Pitekantropi

Ekonomia polityczna w uczelniach technicznych jest zwykle traktowana jako swego rodzaju curiosum, podobnie jak filozofia i nauki polityczne. Często przejawia się to w postaci niechęci i lekceważenia. Trudno dociec, skąd się bierze u przyszłych inżynierów uprzedzenie do nauk społecznych czy też (nieuzasadnione!) przekonanie o ich nieprzydatności. Nie mam tu zamiaru szukać źródeł tej „rzeki niechęci”. Chcę jedynie pokazać, że pewne postawy wobec ekonomii politycznej (w szczególności, ale można to przecież uogólnić na inne przedmioty) mogą być — delikatnie mówiąc — nieodpowiednie.

Wykład z ekonomii politycznej na II roku Inżynierii Sanitarnej. Co tydzień o 7.30 w ogromnej sali duża grupa (130) studentów spotyka się z wykładowcą. Przysiadają, słuchają, niektórzy notują, inni zajmują się czymkolwiek — słowem: normalny wykład. Sek w tym, że wykład zaczyna się „w środku nocy” — o 7.30. Zrozumiałe, że nie wszyscy godzą się z myślą o tak wczesnym przyjeździe. Ten fakt plus przeświadczenie, że to przecież „tylko” ekonomia, okazał się wystarczającym powodem, by spóźnienia stały się czymś normalnym. Jedni przychodzili pięć minut po rozpoczęciu, ale bywali i tacy, którzy wchodzili na salę po pół godziny spóźnieni. Oczywiście, w drodze na uczelnię wszystko może się zdarzyć (zważywszy na „doskonałe” funkcjonowanie wrocławskiego MPK). Postawmy się jednak w sytuacji wykładowcy. Pierwsze kilkanaście minut wykładu jest stracone. Wykładowca kilkakrotnie zwracał uwagę na ten fakt, prosząc studentów, by starali się być punktualnie w sali. Postanowił rozpocząć

wykład o 7.35, ale za to zastosował metodę, która według niego samego, do eleganckich nie należy — zamykanie drzwi po rozpoczęciu wykładu, aby nikt ze spóźniających nie mógł wejść na salę. Ten „chwyt” pociągnął za sobą inne, nieprzewidziane skutki. Zdarzały się wypadki, że studenci, zastawszy drzwi do sali zamknięte, po prostu kopali w nie nogami, dając dowody swego istnienia po drugiej stronie drzwi. Można przypuszczać, że to pęd do wiedzy kazał tym „po drugiej stronie barykady” robić wszystko, byle tylko dostać się na salę. Ale jest też alternatywa: chęć „zaliczenia” obecności, która była sprawdzana systematycznie, metodą „kartkową” (wychodzący z sali oddają kartki). Przy sprawdzaniu obecności zaczęły się próby oszustwa (oddawanie kartek za nieobecnych kolegów) i tylko dobrej woli wykładowcy należy przypisać fakt, że nie wyciągnięto z tych incydentów poważniejszych konsekwencji. Wytworzyła się atmosfera niezdrowego napięcia między dwoma biegunami sali: studenci — wykładowca. Nielatwo jest panować nad audytorium, czując jego niechęć do reprezentowanej sprawy (a także do własnej osoby).

Pod koniec semestru wykładowca postanowił sprawdzić, jak wygląda zestawienie frekwencji na wykładzie. Wyniki były dość szokujące: wielu studentów przekroczyło dopuszczalny regulaminem limit 25% nieobecności, w tym niektórzy — dość znacznie. Były nawet osoby, które osiągnęły swój rekord — 10 wykładów. Okazało się potem, że są to przeważnie ci, którzy z różnych względów nie są słuchaczami przedmiotu (np. będąc na urlopie dziekańskim mieli ekonomię

polityczną zaliczoną, o czym jednak nie poinformowali wykładowcy). W ten sposób duża grupa (ok. 30 osób) znalazła się na „czarnej liście” w dziekanacie. Studenci mają pretensje, że nie uprzedzono ich wcześniej o możliwości wyciągnięcia jakichkolwiek konsekwencji z powodu nieobecności. Pretensje zupełnie nieuzasadnione. Przecież nieznajomość regulaminu („Obowiązki i prawa studenta Politechniki Wrocławskiej”) nie zwalnia studenta od przestrzegania obowiązujących zarządzeń, a z kolei władze uczelni (w tym wypadku dziekanat) są zobowiązane do egzekwowania regulaminowych powinności studenta. Czy student, który chce, by traktowano go tak, jak na to zasługuje, a więc jako osobę dorosłą, w pełni za swe czyny odpowiedzialną, nawet bez znajomości w/w regulaminu nie potrafi uświadomić sobie tego, co mu wolno, a co jest już przekroczeniem?

Sprawa, dzięki staraniom dziekanatu, zakończyła się pomyślnie dla studentów — kolokwium zaliczeniowe zdali w końcu wszyscy (niektórzy za drugim podejściem). Wydawać by się więc mogło, że właściwie niepotrzebne jest czynienie jakiegokolwiek, choćby najmniejszego „hałasu o nic”. Czy rzeczywiście o nic? Zostały tu naruszone (poza regulaminem studiów) zasady fair play wobec wykładowcy. I to podwójnie: raz — w postaci incydentów typu przeszkadzania w wykładzie czy prób oszustwa, drugi raz — gdy studenci próbowali sugerować, że zostali „skrzywdzeni” przez wykładowcę, usiłując nadać sprawie posmak „afery”.

Wykład trwa nadal, stosunki między słuchaczami a wykładowcą wróciły do normy (zbliży się egzamin!). Możemy więc powiedzieć, że w zasadzie wszystko jest dobrze. Czy jednak wszyscy są „w porządku”?

haka

KIEDY Jaś stanie się JANEM

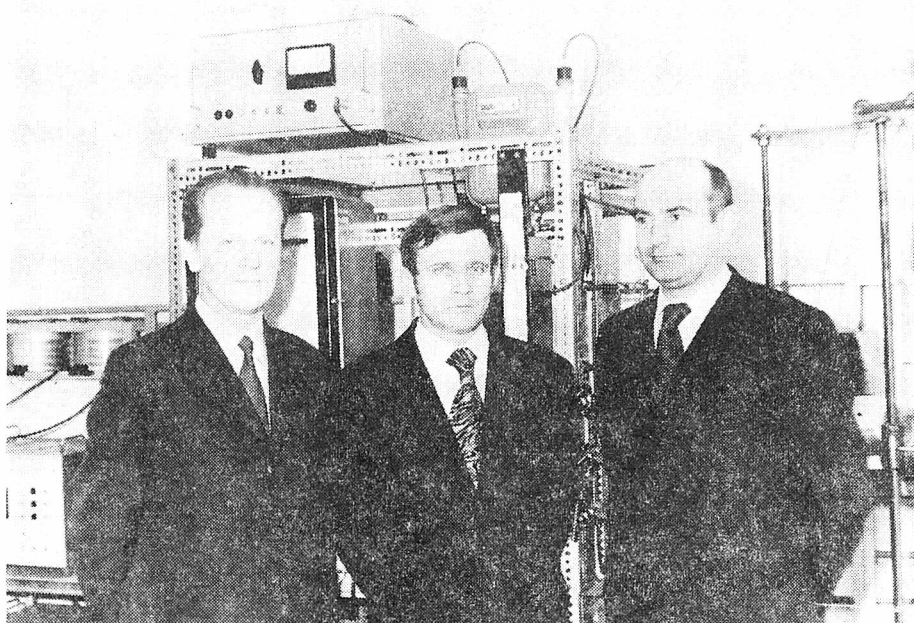
Jaś ma szczęśliwe dzieciństwo. Jest jedynym synem inżyniera i lekarki. Początkowo opiekuje się nim dochodząca niania, potem pani wychowawczyni w przedszkolu, następnie nauczyciele w szkole. Jaś wcześniej zaczyna dojrzywać fizycznie. W gronie koleżanek i kolegów wykonuje pierwsze eksperymenty biologiczne. Wreszcie nadchodzi matura. Jaś staje się dorosłym człowiekiem w obliczu prawa. Nadal jednak nie może się żenić i nie może pójść na film „Anatomia miłości”, żeby za dużo się nie dowiedzieć o życiu dorosłych. Jaś idzie na studia. Opiekuje się nim opiekun grupy, roku, pełnomocnik Instytutowy do spraw studenckich, prodziekan, prorektor z całym Pionem Dydaktycznym, organizacje młodzieżowe. Jaś kocha się często. Wreszcie spotyka idealną swoją żonę. Przypadkowo zostaje ojcem. Ponieważ jest honorowy i kocha swoją Małgosię, żeni się. Skończył 21 lat i prawo mu już na to zezwala. To nic, że młodzi jeszcze studiują i nie mają własnego mieszkania. Biorą ich na u-

trzymanie i pod troskliwą opieką dwie pary rodziców. Jaś kończy studia, aż do ostatniej chwili pod opieką wszystkich możliwych opiekunów. Nawet w czasie wakacji pozostawał pod pieczą opiekuna praktyk czy troskliwych choć surowych opiekunów, podoficerów i oficerów na obozach wojskowych. Jaś zaczyna staż w fabryce. Oczywiście nie jest samodzielnym pracownikiem, znowu przechodzi pod system odpowiedzialnej opieki. Po pewnym czasie Jaś dochodzi do wniosku, że jego właściwym powołaniem jest praca naukowa. Wraca na Uczelnię. Przechodzi pod opiekę promotora, który jest znakomitym uczonym i nie dysponuje taką ilością czasu, by poświęcać go doktorantom. Jasiem opiekuje się więc doktor X. Nadchodzi czas odwetu. Jaś staje się opiekunem grupy, a więc ogniwem pośrednim w systemie opiekunów. Z kolei jego syn przechodzi pod opiekę pań przedszkolank. Tak więc opieką objęte są już dwa pokolenia. Nie należy też zapominać o opiece żony, Małgorzaty, która po urodzeniu dziecka stała

się dorosłą kobietą. W wieku lat 30 Jaś robi doktorat. Nie staje się jednak samodzielnym pracownikiem naukowym. Nie ma prawa sam wysyłać publikacji do czasopism fachowych. Kiedyś na Uczelnię przyjeżdża 30-letni chłopiec z Ameryki. Wszyscy ze zdumieniem dowiadują się, że jest to profesor uniwersytetu. Jednak ta Ameryka jest całkiem zdegenerowanym krajem. Mija 10 lat. Jaś pod troskliwą opieką profesora robi habilitację. Bawi się z innymi 40-letnimi chłopcami, którzy działają w ZMS-ie i jeżdżą na wycieczki z „Almatorem”. Bawia się też chętnie z 18-letnimi dziewczynami. Jak długa jest jednak młodość. Wreszcie Jaś staje się samodzielnym pracownikiem naukowym. Niedługo zostanie dziadkiem. Czas już zacząć myśleć o emeryturze. Wówczas, po krótkim okresie samodzielności, przejdzie pod troskliwą opiekę dzieci, lub jeśli te okażą się wyroczne — pod opiekę personelu domu starców.

KRZYSZTOF WOJACZYŃSKI

nowy polski katalizator G-1



Twórcy sukcesu: od lewej: mgr S. Janiak, prof. J. Grzechowiak, doc. B. Radomyski.

Produkcja wszelkiego rodzaju paliw płynnych (w szerokim tego słowa znaczeniu) zajmuje szczególne miejsce w życiu gospodarczym każdego kraju. Jedną z operacji wchodzących w skład procesu technologicznego wytwarzania olejów i benzyn jest hydorafinacja — czyli usuwanie z produktów naftowych organicznych związków siarki, tlenu, azotu oraz substancji żywiczno-asfaltowych przy pomocy wodoru. W naszej Uczelni prace badawcze w tym kierunku prowadzone są w Instytucie Chemii i Technologii Nafty i Węgla.

W ubiegłym roku zespół naukowców z tego Instytutu pod kierownictwem dyrektora — prof. dr inż. Jerzego Grzechowiaka wdrożył do eksploatacji w Mazowieckich Zakładach Rafineryjnych i Petrochemicznych (MZRiP) w Płocku nowy katalizator do hydroodsierczania benzyn i olejów napędowych. Jest to katalizator kobaltowo-molibdenowy nazwany G-1.

G-1 jest pierwszym polskim katalizatorem, który znalazł zastosowanie w przemyśle rafineryjnym.

Katalizator produkują na skalę przemysłową Zakłady Chemiczne w Oświęcimiu w instalacji zaprojektowanej i wybudowanej według technologii opracowanej i opatentowanej przez pracowników Instytutu Chemii i Technologii Nafty i Węgla (prof. Z. Tomasiak, prof. J. Grzechowiak, doc. B. Radomyski oraz mgr S. Janiak z Zakładu Petrochemii Instytutu Chemii Organicznej PAN). Produkcja ta nie nastręcza większych trudności. Od dnia wdrożenia (5.X.1972 r.) do chwili obecnej na katalizatorze przerobiono ok. 200 tys. ton oleju napędowego i ponad 50 tys. ton benzyny.

Pomiary ruchów testowych wskazują na pełny sukces naszych naukowców. Katalizator G-1 okazuje się lepszym od sprowadzanego dotychczas katalizatora angielskiego Comox. Przy zastosowaniu polskiego katalizatora uzyskuje się olej napędowy o mniejszej zawartości siarki przy praktycznie jednakowej dla obydwóch katalizatorów wydajności. Na podkreślenie zasługuje fakt, iż polski katalizator pozwala na osiągnięcie lepszych rezultatów przy niższych temperaturach procesu od kil-

ku do kilkunastu stopni. Stwarza to z jednej strony korzystniejsze warunki pracy instalacji i mniejsze jej zużycie, z drugiej zaś — znaczne oszczędności paliwa potrzebnego do podgrzania surowca i utrzymania reżimu technologicznego.

Na posiedzeniu zespołu w Płocku, oceniającego wyniki wdrożenia stwierdzono, że katalizator nadaje się do zastosowania dla hydroodsierczania benzyny i oleju napędowego we wszystkich czterech instalacjach znajdujących się w MZRiP oraz w analogicznych instalacjach, nowo powstających rafinerii (Gdańsk).

Wyniki badań laboratoryjnych oraz analiza eksploatacji przemysłowej wskazują, że katalizator będzie można wykorzystać dla odsierczania paliw odrzutowych, olejów napędowych o wyższej zawartości siarki i wyższym ciężarze cząsteczkowym oraz do hydorafinacji olejów smarowych. Rozważa się też jego wykorzystanie do innych celów.

Wprowadzenie katalizatora G-1 do eksploatacji przemysłowej przyniesie naszej gospodarce poważne oszczędności. Pozwoli zaoszczędzić dewizy na zakup katalizatora; wartość jednorazowego wsadu katalizatora dla obecnie istniejących instalacji do hydroodsierczania olejów napędowych i benzyn w MZRiP wynosi kilkaset tysięcy dolarów.

Z tytułu mniejszego zużycia paliwa (niższa temperatura procesu w przypadku G-1) oszczędności dla omawianych instalacji wyniosą rocznie kilka milionów złotych.

Trudno nawet w przybliżeniu obecnie określić zyski wynikające z przedłużenia czasu pracy silników i innych urządzeń, uzyskane dzięki mniejszej zawartości siarki w gotowych produktach.

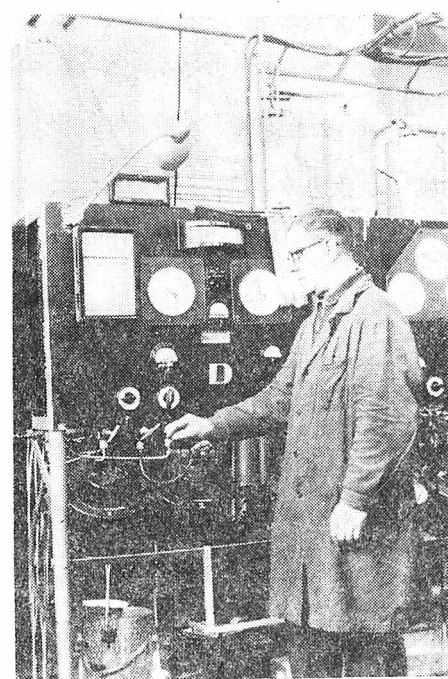
Głębsze (tzn. dokładniejsze) odsierczenie produktów naftowych przyczyni

się, dzięki wyższej jakości otrzymanych paliw, nie tylko do lepszej pracy silników i innych urządzeń oraz dłuższej ich eksploatacji ale również w poważnej mierze wpłynie na zmniejszenie zanieczyszczeń atmosfery.

Produkcja własnego katalizatora u niezależnia nas od importu, który może ulec zakłóceniu w wyniku koniunktur politycznych i gospodarczych. Brak katalizatora, stanowiącego ilościowo i wartościowo stosunkowo niewielką pozycję w porównaniu z produktami rafinerii, może spowodować zatrzymanie instalacji przemysłowych. Wartość produktów otrzymanych tylko z pracujących już instalacji na polskim katalizatorze przekracza 1 miliard złotych rocznie.

Uruchomienie produkcji polskiego katalizatora o wysokim standardzie światowym stwarza możliwość eksportu nie tylko samego katalizatora, ale również technologii jego produkcji oraz ciałch instalacji.

Opracował: ZBIGNIEW SZTUBA



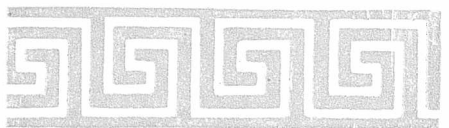
Na tej aparaturze przeprowadzono próby w skali wielkolaboratoryjnej. Przy aparaturze doświadczony mechanik aparaturowy J. Miarka

Zdjęcia: K. DUDEK

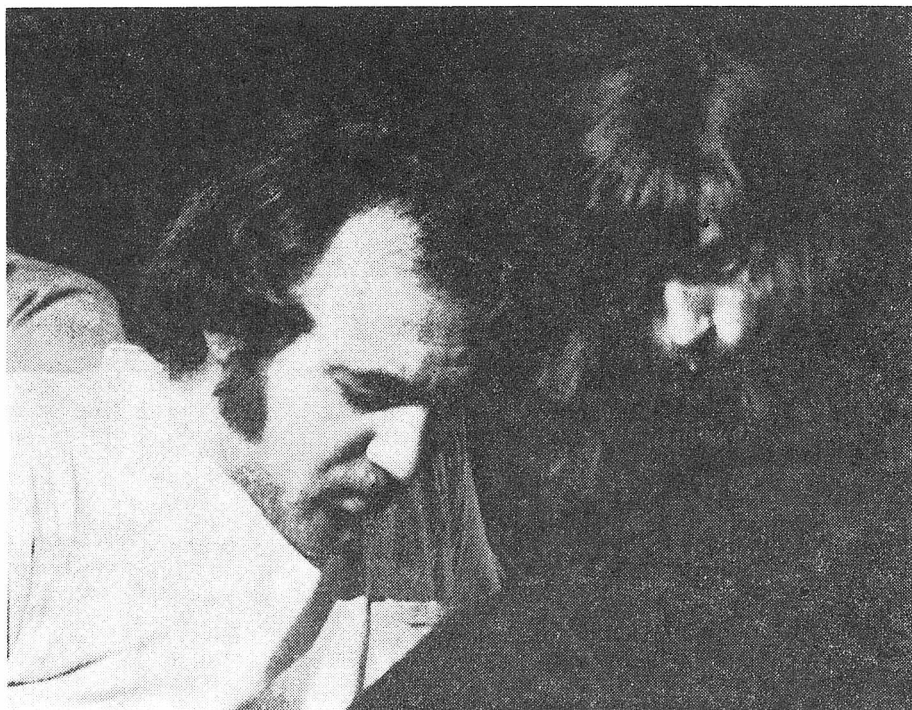


KALAMBUR

ma 15 lat



Zdjęcia: L. BIAŁASIŃSKI



Założony jesienią 1957 roku przez Eugeniusza Michałuka i Bogusława Litwińca, w kwietniu 1957 roku zaprezentował *konfiskatę gwiazd*, program, który zdeterminował dalsze upodobania sceniczne Kalambura: skłonność do uprawiania groteski i liryki, potrzebę skrótu scenicznego, próby szukania w jednym widowisku wypadkowej kilku gatunków scenicznych (kabaretu, dramatu, poezji), a nade wszystko uwrażliwienia na walory ruchowe, plastyczne i muzyczne widowiska.

Spektakl ten nagrodzony w roku 1959 w Krakowie medalem „Smoka Wawelskiego” i wyróżnieniem za najlepszą scenografię zaanonsował Kalambur wśród teatrów studenckich kraju. Od tamtego czasu nigdy nie opuścił czołówki najcenniejszych scen studenckich kraju, przywożąc z różnych krajowych i zagranicznych festiwali kilograme nagród, wyróżnień i dyplomów.

W wydanej z okazji 10-lecia Teatru książce tak oto wyrażają swe opinie o działalności zespołu Konstanty Puzyna i Andrzej Mencwel:



B. Litwiniec

Zdjęcia z prób „W rytmie słońca”

S. Pater i J. Niedzielski

Kalambur zapisał się w ogólnopolskiej kulturze studenckiej i teatralnej zarówno swoimi niektórymi widowiskami, z których szczególnie należy wspomnieć „Szewców” (od tego przedstawienia zaczął się nowy etap patrzenia w Polsce na sposób wystawiania Witkacego) jak i szeregiem ważnych przedsięwzięć organizacyjnych. Należy do nich zwłaszcza Międzynarodowy Festiwal Festiwali Teatrów Studenckich — inicjatywa, która przyniosła istotne wartości dla naszej kultury teatralnej.

Ważną inspiracją dla innych teatrów stanowiły także montaż poetyckie Kalambura. Cennym pomysłem jest także „Scena Debiutów”. (...) Jest to teatr stale poszukujący, który nie utrwalil się w żadnej z gotowych form lecz zmierza wciąż dalej i dalej.

Wypracowana w ciągu minionych lat formuła teatru poezji jest najcenniejszą właściwością Kalambura. Zrealizowane w tej konwencji widowisko do poezji Urszuli Koziół W *rytmie słońca* doczekało się swojej wersji telewizyjnej, a grane było na scenach pięciu państw Europy Zachodniej (premiera odbyła się 1 czerwca 1970 roku na scenie *Akademie der Künste* w Berlinie Zachodnim) ponad 30 razy, przy czym w sumie liczba spektakli osiągnęła wielkość 91, równą ilości przedstawień *Szewców*.

O widowisku i teatrze swoją opinię wyraziła Barbara Henkiel w *Sztandarze Młodych* z dnia 30.XII.1970 r. w słowach:

Piękna i mądra poezja Urszuli Koziół znalazła godnego partnera w zespole „Kalambura”, który ma niemałe doświadczenie w zakresie widowisk poetyckich, czuje znakomicie rytm i muzykę wiersza, umie przekładać na ruch sceniczny poetyckie słowa, odkrywać wielkość ich znaczeń. Tym spektaklem „Kalambur” udowodnił, że jest wśród najpierwszych a przy tym zawsze zachowuje własne oblicze, któremu umie podporządkować nowe prądy i mody.

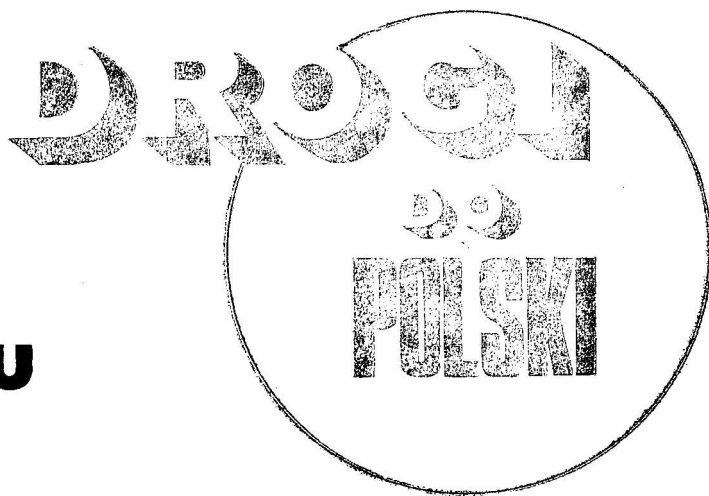
LESZEK BIAŁASIŃSKI

Scena zbiorowa

Artykułem prof. Jana Benedykta Różyckiego rozpoczynamy publikację cyklu wspomnień pracowników Politechniki Wrocławskiej, uczestników walki o Polskę na różnych frontach II Wojny Światowej.

„cichociemny” powrót do kraju

Jan Benedykt Różycki



To określenie „cichociemny” — taki wojenny nowotwór językowy — powstało w Anglii wśród polskich żołnierzy. Przylgnęło ono do ochotników — spadochroniarzy przerzucanych nocą do kraju.

Niektórzy byli już ochotnikami po raz drugi. Po raz pierwszy (jak np. i autor tych wspomnień) zrobili to dnia 1 września 1939 r., z chwilą wybuchu walki z Niemcami. Dla wielu był to nie tylko początek II wojny światowej, a początek 6 — lub więcej — letniej tułaczki poza krajem. Był rok 1943. Polska flota wojenna i handlowa, lotnictwo nie ustawało w walce lub w służbie dla tak jeszcze dalekiego zwycięstwa. Tylko siły lądowe — różne bronie od piechoty do pancerniaków czekały na powstanie 2 frontu przeciw Niemcom w Europie — na tzw. „inwazję”. Nie wszyscy umieli i chcieli czekać. Szukali więc dróg do innych broni i oddziałów, aby na pewno i prędzej znaleźć się w polu, z bronią w rękę, w działaniu przeciw znenawidzonym hitlerowskim wojskom i okupacji kraju.

W Anglii powstała wtedy pierwsza polska powietrzna jednostka, zdolna do przerzutu — Brygada Spadochronowa (dowódca — pułkownik, a później generał Sosabowski). W ramach tej brygady szkolono i wspomnianych ochotników na powrót do kraju tj. do Armii Krajowej. Byli wśród nich żołnierze różnych broni, od oficerów sztabowych począwszy do podoficerów. Zwykle byli to specjaliści — łącznościowcy, saperzy, minerzy, itp.

Co do mnie, w Anglii byłem od początku sierpnia 1943 r. O niespodziewaną i tajemniczą śmierć Naczelnego Wodza — gen. broni Władysława Sikorskiego otwarłem się. Byłem wtedy w Gibraltarze d-cą zbiorczej kompanii i 4 lipca 1943 r. prezentowałem ją generałowi. Byli to ludzie z różnych stron, różnych broni i przeszłości — z Polski, z Francji, z niemieckich obozów, z francuskiej Legii Cudzoziemskiej, z obozu z Miranda del Ebro, tj. hiszpańskiego lagru włącznie.

Sam byłem uciekinierem z internowania w Szwajcarii, z obozu uniwersyteckiego Winterthur, z Francji z miasta Grenoble i z Hiszpanii — w tej ostatniej przeszedłem 42 dni przez więzienie „Modelo” i dalej przez Polski Czerwony Krzyż.

Studiowanie szwajcarskiej i praktycznie z całej Europy z Anglią włącznie, prasy, bo były tam i niemieckie naświetlenia, zorientowało mnie, że inwazja od Zachodu, tj. uderzenie na Niemców we Francji jest sprawą bliską. Trzeba się spieszyć, aby wziąć udział w ostatecznej rozprawie z Niemcami. Za sobą miałem już dwie kampanie. Polską od 1 września 1939 r.; 2 dni z grupą ochotników-robotników przy pułku KOP-u (Korpus Ochrony Pogranicza) „Chabówka”, a następnie z 10 Zmotoryzowaną Brygadą Kawalerii (d-ca ówczesny płk Maczek — dziś generał), w jej Batalionie Zmotoryzowanych Saperów odbyłem polski wrzesień.

Francuska Kampania — to okres od 13.X.1939 r. do 4.VII.1940 r. — Szkolenie i tworzenie wojska w Coëtquidan i okolice, aby wyjść w końcu marca w rejon linii Maginot’a. Walki od 10 maja do 21 czerwca 1940 r. w I Dywizji Grenadierów; byłem wtedy d-cą plutonu pionierów w 2 Pułku Grenadierów Wielkopolskich. Do 4 lipca 1940 r. przedzieranie się z grupką 8 żołnierzy przez zajętą Francję spod Saint Dié przez Wogezy i dojście w mundurze i z bronią do pogranicznego punktu Bonfol — cypla wrzynającego się tu w teren południowej Francji lub lepiej — cypla wystającego z górskiej szwajcarskiej granicy.

Trochę tu dygresji, aby czytającemu przytomnić, że czułem się stale żołnierzem i internowanie nie osłabiło tego poczucia i chęci spotkania się jeszcze z wrogiem z bronią w rękę.

A Anglia — to był już wtedy (koniec 1943 r.) nastrój inwazji. Dawni oficerowie i żołnierze generała Maczka tworzyli Pancerną Dywizję. Mnie przypadł los wrócić do I Dywizji i osiąść w jej skadowanym Dywizjonie Rozpoznawczym, w Bridge of Allan, w Szkocji.

Szczęśliwie przypadkiem na dworcu w Edynburgu spotkałem gen. Maczka i ppłk (obecnie generała) Skibińskiego — jego szefa Sztabu w Polsce, we Francji i w Anglii. Przyrzekł mi generał przeniesienie do siebie. Znali mnie z kraju z tych przesłaniań od Wysokiej i góry Ludwika do Żółkwi i przejścia na Węgry, i miałem dobrą opinię żołnierską.

Ale rozkaz o przeniesieniu mnie z I Dywizji do Dywizji Pancerniej nie był na rękę memu bezpośredniemu dowódcy mjr Siatyńskiemu. Rozkaz został schowany „pod sukno”, a ja przeszkalałem się w użyciu broni (miałem i działka w pancernych samochodach dywizjonu), prowadzeniu angielskich wozów ciężarowych, materiale wybuchowym tj. z nowościami, jakie w czasie wojny dała Anglii i aliantom nowa chemia i przemysł.

Trudno jednak było po przejściu tych kilku granic „na zielono” i strawieniu tyłu miesięcy (od 30.IX.1942 r. do 8.VIII.1943 r.) na „podróż” z nad granicy włoskiej (Safienthal) do Szkocji pogodzić się z „zajęciami” bojowymi w Bridge of Allan. Dlatego, gdy nie wyszło z pancerniakami, a dowiedziałem się o werbunku do Armii Krajowej w Polsce, zapisałem się w VI Oddziale Sztabu i do AK i na „skoki”. Uważałem, że szkolenie należało (mówię o sobie, bo miałem wtedy 43 rok życia) zacząć od sprawdzenia, czy nie zawiedzie mnie „ciało i duch” w „podróż” z samolotu na ziemię.

Miałem rację. Bałem się coś około tygodnia straszliwie. Nareszcie nadszedł rozkaz — tym razem angielski — szkolenie całe odbywaliśmy na angielskich kursach, w tym i szkołę „skoków”. Tym razem przy wręczaniu mi rozkazu wyjazdu zostałem tylko przez majora Siatyńskiego zbesztany, że z porządnego pułku robię sobie „hotel”. Był to oficer z 9 Pułku Ułanów Małopolskich z Trembowli bardzo czuły na punkcie „doczekania się” pełnego składu Pułku. Było wtedy w dywizjonie wszystkiego około 90 ułanów i 30 oficerów tj. było brak 300—400 ludzi do obsady posiadanej broni i sprzętu. A tu „jeden” postarał się „wyrwać” z tego z takim trudem gromadzonego przez majora wojska. Skandal!

Ale cóż, dostałem rozkaz tj. papierek, spakowałem się i na pociąg. Była ta „szkoła skoków” gdzieś w rejonie Manchestera tj. w środkowej Anglii, a nazywała się Ringway. Polaków na skokach okazało się trzech. Kolega znajomy jeszcze z Hiszpanii (podporucznik Kijewski — 35 lat i nieznany mi bliżej plutonowy Kowal — lat 28. No i jeszcze inni — Francuzi — (wśród nich jedna kobieta), Duńczycy, Holendrzy, Norwegowie, Anglicy — razem 3 Polaków i 15 aliantów. Z nas skończyło kurs 11 osób, a z Polaków tylko ja jeden. Skoków było 5 — jeden z balonu, jeden w nocy i 3 w dzień. Kijewski — noga w kostce, Kowal — krzyż — obaj do wiosny do niczego.

A potem dla mnie aż do końca kwietnia kurs za kursem. Wszystkie z wykładowym angielskim i bardzo rzadko w towarzystwie polskim. Dopiero tzw. „kurs odprawowy” był polski i cała grupa polska i dowództwo. Jakiś b. pałac z pięknym parkiem i otoczeniem. Układałem sobie wtedy tzw. „pokrywkę” tj. fikcyjną historię biograficzną do nowego nazwiska. Robiono moją fałszywą „kennkartę” i inne także dowody pracy itp.

I tu zdałem sobie sprawę, że jak nigdy w życiu — po zeskoku w kraju i schowaniu broni — w cywilnym ubraniu z fałszywymi dokumentami jestem zdany jedynie na siebie, na moją znajomość niemieckiego języka i Niemców w G.G.,

na zachowaniu opanowania i zimnej krwi, na znalezienie szybkiego wyjścia z każdej sytuacji, jaka może się zdarzyć — i że nikt i nic mi nie pomoże! Trzeba dobrze zagrać swoją nową rolę, wynikającą z przypadkowego wcielenia się w nowe nazwisko i w nieznane „jutro”. To była znów chwila strachu i filozofowania!

Nie będę opisywał ani pobytu pod Londynem, ani podróży statkiem w czerwcu 1944 r. z Glasgow przez Atlantyk, Gibraltar i morze Śródziemne — z widokiem na wybrzeża Afryki — aż do Neapolu we Włoszech. Po przybyciu do Neapolu czekaliśmy ponad 2 tygodnie na transport kolejowy na drugą stronę „włoskiego buta” tj. w rejon Bari — we Włoszech były wtedy obozy wyczekiwania Polaków z I Korpusu z Anglii i z II Korpusu (tj. gen. Andersa).

Lato roku 1943 — inwazja w toku. Czekamy, siedząc przy aparatach radiowych, zwykle w przyszłych grupkach skoczковых, tj. ppłk Kobylński (starszy kolega o 2 lata z gimnazjum im. E. Konopczyńskiego), mjr Kryżar, płk Nakonecznikoff i inni. Skakało się szóstkami tj. trzema parami. Nie pojechaləm na wycieczkę do Rzymu. Byłem we Włoszech (w 39 r. przejeżdżałem z Jugosławii przez Włochy północne do granicy francuskiej w Modane), ale ani Rzymu, ani papieża nie oglądałem. Był to wtedy nieciekawcy dla nas człowiek na stolicy Piotrowej: Pius XII — germanofil. A tymczasem codziennie robiłem 5 km „marszobiegów” — w 25 mi-

nut, aby być w formie. Karmili b. dobrze — spać trzeba było pod moskitierą, bo muchy i komary nie dałyby — jedne wieczorem, a drugie rano — spokojnie leżeć.

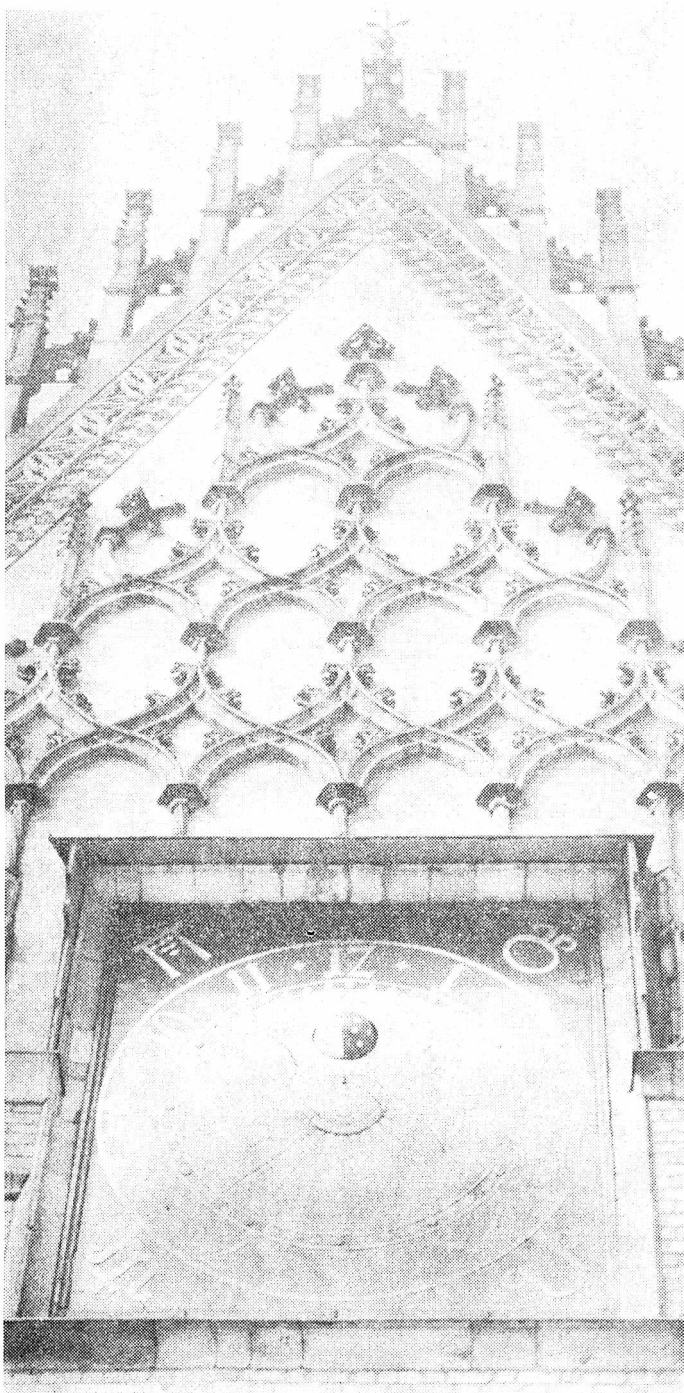
I przeżyłem w tym okresie oczekiwania wiele alarmów. Był to bądź alarm gotowości o różnym przygotowaniu tj. po żołniersku w mundurze, a więc dobrze, bo „do lasu”, albo po cywilnemu — to było smutniej przyjmowane, bądź już z wyjazdem na lotnisko pod Brindisi. Tego było widać memu losowi mało. Zmieniono mi miejsce odbioru, bo w międzyczasie wybuchło Warszawskie Powstanie. Miałem iść do Warszawy. Zrobiły się z niej Kielce. Szczęśliwie pochodzę z kieleckiego, a we Francji i jakiś czas w Szwajcarii miałem zastępcę aspiranta tj. podchorążego architekta Tadeusza Górskiego. Pamiętałem wtedy adres mieszkania jego rodziców. Bywałem w Kielcach, bo pracowałem w powiecie miechowskim w ciągu dwu letnich sezonów.

Po południu koło 17-tej w dniu 8 października 1944 r. wsiedliśmy w końcu w sześciu i wylądowano z nami kilka worków wojennego zaopatrzenia dla AK. Do Polski przez Jugosławię, Wiedeń, Czechy, Tatry i na Kraków, do kolana Wisły pod Warszawą i w okolicę Kielc. Nie pamiętam już mapy i miejsca, w które miałem skakać. Nie znalazł, wiozący nas zespół — pilot, nawigator itd. — wśród nocy nad lasami i polami Polski, światła na miejscu zrzutu. Obieciliśmy Polskę w granicach zapasu benzyny i do Włoch. Przykry był powrót, bo nieudany lot. Dolatując do Bari — wracaliśmy na bliższe lotnisko — poprosiłem pilota, aby mi pozwolił przejść do nich na przód samolotu i zobaczyć lądowanie. Niestety nie zawsze się to udawało. W czasie Powstania Warszawskiego z zespołu 21 maszyn typu „Liberator” czteromotorowych bombowców (na takim, ofiarowanym Naczelnemu Wodzowi przez premiera Churchilla zginął 4 lipca 1943 r. generał broni Władysław Sikorski) zginęło 18 załóg. 2 samoloty „utopiły się” tuż przy lądzie pod Bari. Nam się udało. Przeszedłem pod samolotem po desce między stanowiskami na bomby do przodu samolotu, bo przejścia między kabiną pilotów a tylnym strzelcem nie było. Lądowanie wspaniale się udało po przelocie nad Adriatykiem tuż nad lustrem wody, a potem po drodze startowej. Było ciemno jeszcze. Przed świtem mocno, bo około 3 — 4 nad ranem byliśmy z powrotem. „Nasz” autobus z kierowcą — „nasza” panną kierowcą zapewnił nam powrót „do włoskiego domu”. Kąpiel tj. prysznic gorący i zimny i spać króciutko.

Dopiero 16 października miał być ten prawdziwy powrót do kraju. Nasza „szóstka” to ppłk dyp. Wacław Kobylński, warszawiak, to kapitał łączności, a wtedy student architektury warszawskiej Wojciech Hoffmann (dziś architekt, gdzieś w Anglii). Kapitan, którego nazwiska nie mogę sobie przypomnieć, podchorąży łącznościowiec z krakowskiego i podoficer z bydgoskiej rodziny. Brat jego zginął jako pilot na polskim myśliwcu. Lecił mścić brata i ofiary niemieckich morderstw w Bydgoszczy. Nazwisk obu nie pamiętam również. Jest jednak taka książka z wykazami „szóstek”, datami lądowań, danymi o lotach itd. w naszym Zespole przy warszawskim ZBoWiD-zie. Tam jesteśmy wszyscy — „Cichociemni”.

Byliśmy więc tym razem ubrani nie w mundur, a po cywilnemu. Mundur jechał w worku, który wraz z innymi miał iść jako „paczka” na spadochronie wraz innymi przesyłkami na polską ziemię. Na ubranie cywilne kombinezon lotniczy i hełm. Wszystko zapinane na błyskawiczne zamki. I tu do kombinezonu na piersi wsunąłem kilkanaście tabliczek czekolady, około 800 sztuk amunicji do pistoletu kaliber 9 mm, dwa magazynki z amunicją do pistoletu maszynowego niemieckiego „Schmeiser”, bo taki pistolet zawiesiłem na karku. W każdej kieszeni po pistolecie z pełnym magazynkiem. Amunicja wszędzie 9 mm. I tu okazało się, że tylko ja jeden wytrzymałem nerwowo, że w czasie zeskoku przy lądowaniu pistolet mi się nie zluźni i lufa nie wybije mi oka lub zębów. Przed skokami wszyscy pistolety mieli z sobą, przy wsiadaniu tylko ja jeden miałem na sobie Schmeisera; jako dawny ulan wiedziałem z dawnej swej ulanckiej przeszłości, że pasek przeze mnie założony i zapięty nie puści. Po zeskoku zaraz byłem gotów do strzału — magazynek 25 pocisków, a w każdej kieszeni kombinezonu jeszcze po jednym. Pistolety moich kolegów przytraczono w ostatniej chwili do paczek wszystkie doszły pozginane i nadające się tylko do remontu. Do paczki przyczepiłem trochę czekolady i całość kanapek — były to bułki z masłem przełożone szynką i serem — jakimi nas na lotnisku żegnały jako „kolację” nasze opiekunki angielskie. Były to dziewczęta z tzw. bardzo dobrych angielskich domów — gotowały, prowadziły nasz „dom” tj. kuchnię, samochód-autobusik i samochody osobowe stacji wyczekiwania. No i dotrzymywały towarzystwa. W poprzedniej ekipie, która poszła do kraju nie otworzył się jednemu spadochron. Zginął na miejscu. Był narzeczoną jednej z tych panien. Była to Angielka, ale z byłego Transwaalu, kraju Boerów, z dzisiejszej Południowej Afryki. Były także i miłości pomiędzy szukającymi się do kraju

Fot. J. BACHRIJ



i kobiecą obsadą stacji wyczekiwania. Była ona — ta obsada kobieca — według mnie całkowicie na usługach angielskiego wywiadu tj. Intelligence Service. Od pierwszych dni kontaktu z VI-ką tj. z ekspozyturą AK w Sztapie w Londynie i od momentu decyzji pójścia do kraju stałem się „nijaki” politycznie. Znałem zbytnio wychylonych „w prawo” lub „w lewo” tj. uprawiających „politykę”, którzy nie „opuścili” Londynu i Anglii. Leciąłem więc, jako przyszły szef saperów jakiejś tworzonej przez AK dywizji i jako „skarbonka”. Na kombinezonie miałem pas, a w nim w banknotach 20 dolarowych 75 tysięcy dolarów.

Miejsce naszego lądowania było pod Piotrkowem tj. w lasach na wschód od miasteczka i stacji kolejowej Rozprza. W lasach tych na mapie 1:100000 jest widoczna polana mniej więcej 1 km na 1 km powierzchni. Tam na nas czekano. Nasi — akowcy, żołnierze polskiego podziemia. Jak zawsze w praktyce tj. w akcji na wojnie sprawy przebiegają inaczej niż to przewidziano i poinstruowano. Taka jest logika lub nielogiczność przypadku.

Byliśmy przygotowani do 3 nalołów tj. okrażeń samolotu nad miejsce zrzutu. Każde okrażenie to zeskok pary. Byłem pierwszy tj. dowódcą drugiej pary. Pierwsza — Kobyliński. Trochę się roztył, spowolnił i ogromnie długo zbierał się do zeskoku. W czasie więc na skok tylko on jeden zdążył. Resztę powstrzymano i kolejność ustaloną pomyliła się. Nie byłem przypięty do samolotu. Proszę o to Wojtko i sam przypinam jego spadochron. Te mieliśmy, wsiadając do samolotu cały czas na plecach. Za drugim razem nie zdążyłem już do dziury. Poszła dwójka — ten drugi od Kobylińskiego i drugi ode mnie. Normalnie skoczyć miała trzecia para. I tu już, będąc przypięty, nie czekałem, aby samolot dla mnie jednego robił 4 okrażenie. Skoczyłem na niktącego w dziurze kolegę i byłem trzeci w tej ostatniej grupce.

Jak zawsze uderzenie wiatrem, jak „pięścią w pysk”. Oczekiwanie. I naraz słyszę ten życiodajny trzask nad głową. Wiszę. Reguluję linki i przygotowuję się, jak do szusu na nartach. „Feet together” — przypomina się komenda z pierwszego skoku z balonu na uwięzi i te stale powtarzane słowa na Ringway'u — lotnisku „szkolnym”, słyszane w czasie oczekiwania na samolot do ćwiczących spadochroniarzy. Cały robię się „sprężysty”. Ziemia już blisko. Widzę

krawędź lasu, drzewa. Dotykam ziemi i nawet nie robię przewrotki. To wspaniałe piaski doliny Pilicy i jej dopływów.

Ziemia nasza — polska — kraj!

Jeden ruch ręką — „turn to unlock” i dalej nacisk — „push to release” — czasza leży — niedaleko las — cicho. Stoję wolny. Klękam. Schylam czoło do ziemi. Zwijam spadochron, a przed tym zwoiniłem Schmeisera i wprowadziłem pocisk do lufy. I taki spokój mnie opanował.

Cały czas, będąc poza krajem bez względu na warunki, czy to była spokojna i w pokoju żyjąca Szwajcaria, czy Hiszpania, czy to była podróż przez Atlantyk, czy Anglię, czy Włochy zawsze czułem jakiś niepokój w całym sobie. A teraz cisza i ten wewnętrzny spokój. Jestem w Polsce. Oczekiwana chwila jest już poza mną. No i ani odrobiny obawy, strachu — byłem groźniejszy dla Niemców, niż oni dla mnie. 3 magazynki Schmeisera, 2 Colty, amunicji pełne „pazuchy” — a strzelałem ze Stena 19 w celu na 20 wystrzelonych, z pistoletu gorzej, bo 9-ka. Moim pistoletem był Colt kal. 11 mm. Ciężki. Z 9-ki obowiązywało minimum 2 strzały do wroga, z 11-ki wystarczyło raz. Jest 16 października 1944 r. godz. 22.00. Patrzę na zegarek.

Za chwilę trzask w lesie, kroki i głos „hasło” — to nadbiegał z oczekującego nas oddziału młody chłopiec, na podane przeze mnie hasło, którego dziś nie pamiętam, rzucił odzew — też nie pamiętam — i rzucił się, by mi pomagać, widąc ogromnie rad i szczęśliwy.

Poszliśmy razem obok siebie na miejsce zbiórki. Od 19 września 1939 roku tj. przejścia granicy ówczesnej z Węgrami na przełęcz Tatarskiej upłynęło 1862 dni do dzisiaj. I wtedy nie czułem granicy i tego dnia 16 października 1944 roku w lasach pod Piotrkowem — nie czułem granicy — czułem się tylko spokojny i wolny i u siebie.

JAN BENEDYKT RÓŻYCKI
b. rotmistrz kawalerii

Profesora Jana Różyckiego w uznaniu jego zasług udekorowano między innymi następującymi odznaczeniami wojskowymi i cywilnymi: Orderem Virtuti Militari V kl., Krzyżem Walecznych, Złotym Krzyżem Zasługi, Medalem Zwycięstwa i Wolności, Krzyżem Kawalerskim „Polonia Restituta”, Złotą Odznaką Spadochronową „Cichociemnych” i Francuskim Krzyżem Kombatanckim.

ODROBINA

statystyki na co dzień

Sesja, sesja i po sesji. Nie dysponujemy jeszcze pełnymi danymi¹⁾ dotyczącymi sesji zimowej w Politechnice Wrocławskiej, ale uzyskaliśmy z Pionu Toku Studiów dane dotyczące wyników sesji prymusów szkół średnich. Jak zapewne większość naszych czytelników wie,

w bieżącym roku akademickim przyjęto (po raz pierwszy) bez egzaminów wstępnych najlepszych uczniów szkół średnich (tzw. prymusów) wytypowanych (po 1 osobie) przez grono pedagogiczne szkół. Jak sobie poradzili w sesji? Zjrzyjmy do tabelki.

Są to dosyć marne wyniki. Z matematyki w zasadzie, poza wydziałem Architektury, średnia nie osiągnęła poziomu oceny dobrej, na trzech wydziałach nie przekroczyła oceny dostatecznej! Ogólnie biorąc średnia ocen waha się wokół oceny: dość dobry (3,5), a przecież mieliśmy prawo od najlepszych wymagać znacznie więcej.

Okazało się też, że prymus prymusowi nierówny. Spośród 124 najlepszych uczniów w szkole średniej, tylko 108 zaliczyło sesję zimową, przy czym 6-ciu (tj. ok. 5%) zostało skreślonych z listy studentów! Oczywiście za wcześnie na wyciąganie pełnego wachlarza wniosków, ale jeden nasuwa się od razu: jak długo będziemy mieli szkoły średnie dobre i — mówiąc bez ogródek — wręcz złe, tak długo nie można darzyć pełnym zaufaniem ocen i opinii, przez te szkoły wystawianych. Bez wyrównania poziomu szkół średnich, więcej, bez wyrobienia w kadrze nauczającej w tych szkołach poczucia pełnej odpowiedzialności za wystawiane oceny, nie osiągniemy sytuacji, w której można będzie zlikwidować egzaminy wstępne na wyższe uczelnie.

JANUSZ M. PAWLIKOWSKI

Wydział	Ilość prymusów	% w stosunku do ogólnej liczby przyjętych	Ilość prymusów dopuszczonych do sesji w I terminie	Średnia egzaminów w sesji			Ilość zaliczeń sesji
				I egz.	II egz.	III egz.	
1. Architektury	7	8,0	2	4,05	4,0	—	7
2. Budownictwa Lądowego	9	5,6	9	2,95	4,45	3,35	9
3. Chemiczny	11	8,4	9	3,3	3,7	—	9 (2 skreślonych)
4. Elektryczny	6	4,0	5	3,8	3,8	—	5 (1 zrezygn.)
5. Elektroniki	31	10,2	20	3,3	3,6	3,55	27 (2 zrezygn. 1 urlop 1 przenies.)
6. Inf. i Zarządz.	7	7,6	7	3,55	4,15	—	7
7. Inż. Sanitarnej	9	5,6	7	2,8	3,65	4,1	7 (2 skreślonych)
8. Mechaniczny	23	14,4	19	3,15	3,4	4,05	19 (2 skreślonych 1 rez. 1 przen.)
9. Mech.-Energ.	3	2,9	3	3,3	3,6	3,8	3
10. Podstawowych Probl. Techn.	18	28,1	13	3,0	4,05	—	18

¹⁾ Numer oddano do druku 15 marca 1973 r.

BIEG z przeszkodami

CZYLI

O ROZWOJU

MŁODEJ

KADRY NAUKOWEJ

Wiele mówi się ostatnio o studiach doktoranckich ich potrzebie i przydatności. (Patrz artykuł „Czy jeszcze jeden zawód?” w poprzednim numerze „Sigmę”). Konkluzje tego artykułu nie wydają mi się jednak słuszne.

Zastanówmy się, jaki cel przyświecał ich powołaniu. Była nim bez wątpienia chęć zastąpienia dotychczas obowiązującego schematu szkolenia kadry naukowo-dydaktycznej znanego pod nazwą asystenckie studia przygotowawcze, trwającego w stumie (staż + asystentura) średnio około 10 lat¹⁾. To bardzo długo. Dłużej niż w przodujących zagranicznych ośrodkach naukowych, dłużej niżby to w ogóle wynikało ze zdrowego rozsądku.

Czy rozwój młodej kadry naukowej takim trybem był przynajmniej prawidłowy? Zdecydowanie nie! Już sam status stażysty jest nie do końca jasny. Obowiązkami dorównuje pełnoprawnemu pracownikowi — przywilejów niesie niewiele, praktycznie nie odbiegając w tym względzie od uprawnień studenta. A przy tym jakie to są obowiązki? W większości Uczelni w Polsce są one typu „przynieś, wynieś, pozamiataj”. No, może nie aż tak, ale przecież głównie są to prace o charakterze biurowym, bądź to w instytutach prowadzących prace doświadczalne, prace o charakterze technicznym (np. montaż urządzeń) nie wymagające żadnych wybitnych zdolności czy wręcz wyższego wykształcenia. Oczywiście, można zawsze zapytać — a kto ma te prace robić (w świetle znanych trudności z personelem technicznym), jest to jednak odrębny problem. Przy tym wszystkim nie znam osobiście przypadku (i nie słyszałem o takim curiosum), by po ukończeniu stażu dokonano rozliczenia stażysty z tego, czego się w okresie stażu dorobił — w sensie naukowym²⁾. Wdrażanie zatem stażystów do pracy naukowej jest w tych warunkach w zasadzie „prywatną” sprawą kierownika Zakładu.

Dochodzą do tego dwa jeszcze czynniki — przepraszam, że tu o nich wspomnę — stosunkowo niskie uposażenie i w zasadzie nie rozwiązana do końca kwestia mieszkaniowa. Wszystko to przesądza praktycznie o negatywnej

(w większości wypadków) selekcji do zawodu pracownika naukowo-dydaktycznego — przepraszam: nauczyciela akademickiego.

Przypuśćmy, że mimo to, nasz opiswany stażysta zdecydował się pozostać na Uczelni. Napotykamy tu znowu na kolejny paradoks — otóż sprawa zatrudnienia stażysty w większości wypadków nie zależy wcale od jego zdolności, przygotowania do zawodu itp., a od konkretnych możliwości etatowych Instytutu. Zdarza się więc, że w pewnym momencie trzeba przyjąć do pracy 10 stażystów i ich przeszeręgować mimo świadomości, że są to (i będą w przyszłości) kiepscy pracownicy, a w rok — dwa później są trudności z przyjęciem³⁾ rzeczywiście uzdolnionego człowieka. A jakie obowiązki czekają go po przeszeręgowaniu na etat asystenta? Praktycznie niewiele się różniące od obowiązków stażysty, przy czym zasadnicza różnica to nałożenie na asystenta poważnych obciążeń dydaktycznych. W większości Uczelni w kraju znaczna (do 20%) część młodych pracowników ma obciążenia sięgające 350—400 godzin rocznie. Cierpi na tym i dydaktyka, której poziom, zważywszy niewielkie doświadczenie młodego człowieka jest nie najwyższy, ale (i chyba przede wszystkim) dorobek naukowy asystenta. Nie tylko ilościowy; bowiem chęć spełnienia wymogów formalnych przy przeszeręgowaniu na stanowisko st. asystenta powoduje obniżenie poziomu prac, wzrasta udział prac kompilacyjnych, rozszerza się przyczynkarstwo i badawczy minimalizm. Obciążenie a właściwie przeciążenie młodej kadry dydaktyką, niesie dodatkowe niebezpieczeństwo — niechęć kierownika Katedry czy Instytutu do wysyłania młodych ludzi na krótkoterminowe staże

krajowe czy zagraniczne bądź też zwalniania ich od zajęć dydaktycznych w najbardziej „gorącym” okresie kończenia pracy.

Jak widać, bieg do mety, wieńczącej zawodnika wawrzynem doktoratu jest zaprawdę biegiem z przeszkodami. Jak pisze prof. Z. Morecka (*Życie Gospodarcze* nr 21 z 1971 r.): *Ogromną część ich (tj. młodych pracowników nauki — przyp. mój) energii i czasu roboczego zajmują czynności nie dotyczące bezpośrednio ani procesu dydaktycznego, ani badań naukowych, (...) ale nie kończące się prace administracyjno-techniczne.*

Wypływa stąd jeden, zasadniczej wagi postulat: prawidłowy rozwój młodej kadry naukowej wymaga poważnego jej obciążenia od prac administracyjno-technicznych a nawet, moim zdaniem, dydaktycznych.

Stąd prosta droga do uznania asystenckich studiów przygotowawczych (stażu) i asystentury za nieefektywną formę kształcenia młodej kadry naukowej i przyjęcia postulatu zastąpienia jej systemem intensywnej opieki nad wybijającymi się studentami III, IV i V roku (programy indywidualne, SNS) przechodzącej w zorganizowane studia doktoranckie. Oczywiście, wymagają one jeszcze wielu usprawnień głównie formalnych (sprawy materialno-bytowe, etatowe). Pozostaje jednak faktem, że z całą pewnością do nich należy przyszłość.

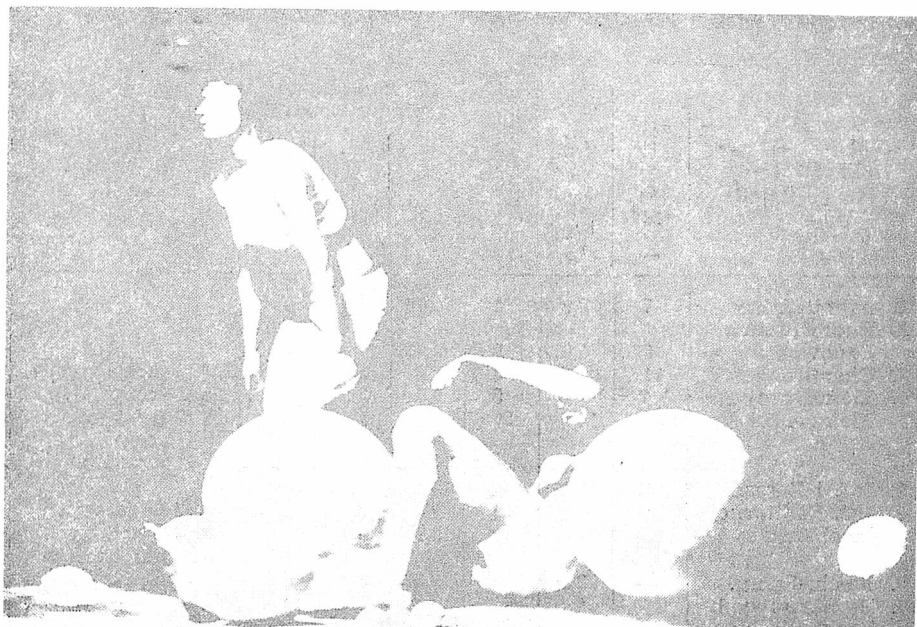
JANUSZ M. PAWLIKOWSKI

1) Średni czas na ukończenie doktoratu w Polsce do 1972 r.

2) W Politechnice Wrocławskiej prowadzi się szkolenie i egzaminy stażystów z przygotowania dydaktycznego.

3) Nie dotyczy to w pełni naszej Uczelni.

Fot. M. SIUDYM



KOCHAĆ SWOJĄ PRACĘ



Muszę się przyznać, że przed zaprezentowaniem w „SIGMIE” sylwetki pani dr ELŻBIETY IDCZAK znalazłam się w nielada kłopotcie. Przed przystąpieniem do wywiadu dysponowałam zaledwie dwiema informacjami: że pani dr Idczak należy do wyróżniających się pracowników Instytutu Fizyki Technicznej i że jest chyba najskromniejszą osobą w Politechnice. Pierwsza rozmowa z panią doktor całkowicie potwierdziła tę opinię. Gdyby nie pomoc pani doc. Kazimierzy Fulińskiej, prawdopodobnie nigdy by mi się nie udało

UCZELNIANA INFORMACJA PODRÓŻY

W Gmachu Głównym w pokoju z wywieszoną „Likwidatura” wśród sześciu innych pań pracuje BOŻENA LISKO-WICZ — drobna starsza Pani o łagodnym, życzliwym uśmiechu. Na ścianie koło biurka rozkłady jazdy, mapy, przed biurkiem kolejka interesantów z blankietami delegacji w ręku. Zosta-



uzyskać nawet części tych informacji, które składają się na jakąś ciekawą sylwetkę pani doktor Elżbiety Idczak.

Urodziła się w stronach Mickiewicza, bo w Nieświeżu i swoje młodość spędziła w Związku Radzieckim. Tam też ukończyła studia na Wydziale Fizyki Uniwersytetu Mińskiego i już jako mgr fizyki w roku 1958 przyjechała do Polski. Wtedy właśnie nastąpiło Jej zetknięcie z Politechniką Wrocławską:

„Zostałam zaangażowana na próbny trzymiesięczny okres... no i jestem tu do dziś. Początkowo trudno mi się było przyzwyczaić. W Mińsku zajęcia wyglądały trochę inaczej. Istniała ściślejsza więź między pracownikami naukowymi a studentami. Nie zdarzyło się, żeby student wychodząc z wykładu czegoś nie rozumiał. Z chwilą zaistnienia jakiś niejasności, można było przerwać wykładającemu i zapytać. Tu po raz pierwszy zetknęłam się ze studentami, którzy na zajęciach zachowują grobowe milczenie. Długo nie mogłam tego zrozumieć. Przecież ci ludzie przyszli na studia w tym celu, żeby się czegoś nauczyć, powinni traktować wykładowcę czy prowadzącego ćwiczenia jak przyjaciela, który jest po to, żeby pomóc.

Zauważyłam też, że studenci bardzo często przyswajają wiedzę w postaci wzorów wkuwanych na pamięć, nie zwracając uwagi na interpretację fizyczną. Staram się na swoich zajęciach eliminować to zjawisko. Dla mnie liczy się przede wszystkim myślenie. Lubię, gdy studenci mnie o coś pytają, bo wtedy wiem, że zainteresowało ich omawiane zagadnienie. Staram się zawsze, możliwie najlepiej wszystko im wytłumaczyć.

Nowością były też dla mnie ściągki kursujące na egzaminach i kolokwiałach. W Mińsku nikt nigdy nie odpisywał.

Nie mogłam też pojąć tego, w jaki

sposób studenci radzą sobie ze zdawaniem kilku egzaminów w sesji, które dzielą kilkudniowe odstępy czasu. Ja na studiach miałam znacznie mniej egzaminów, a mimo to nie narzekałam na nadmiar czasu.

Musiałam się też sama wiele nauczyć, bo — mimo że jestem Polką — w chwili przyjazdu prawie nie znałam ojczystego języka”.

Pani mgr E. Idczak w roku 1965 obroniła pracę doktorską, która dotyczyła badania cienkich warstw metodami optycznymi, a w najbliższym czasie pani dr E. Idczak otwory przewód habilitacyjny.

W roku 1970, kiedy dr Idczak przebywała na stypendium w Związku Radzieckim, nawiązała niezwykle cenną współpracę ze światowej sławy uczonym — wybitnym specjalistą w dziedzinie optyki cienkich warstw — prof. Szklarowskim. Wynikiem tej współpracy były trzy wspólne publikacje i... zaproszenie do pracy w instytucie prof. Szklarowskiego. Z tej ostatniej propozycji na szczęście (oczywiście dla wrocławskiego IFT) pani Idczak nie skorzystała. Wyraża się z wielkim uznaniem o profesorze, podziwia atmosferę panującą w Jego Instytucie, ale wybrała Politechnikę Wrocławską.

Na przyszłość chciałaby zająć się metodami elipsometrycznymi, którymi na razie nikt w Polsce się nie posługuje, a które poznała w czasie odbywania stażu w Związku Radzieckim. Mimo bogatej działalności naukowej, znajduje czas na pracowitą dydaktykę. Studenci bardzo chwalą Jej zajęcia i nie mogą wyjść z podziwu, że „pani doktor ma tyle cierpliwości”. A pani doktor po prostu kocha swoją pracę i może to właśnie jest najskuteczniejszą receptą na sukcesy.

Rozmawiała:

MAŁGORZATA MICHALAK

wiają je u Pani Bożeny przed otrzymaniem rozliczenia.

Czy co dzień jest u Pani taki tłok? — pytam, gdy ostatni interesant odszedł od biurka.

Tak, codziennie: likwidatura to kuchnia, załatwiamy wiele spraw, stąd dużo interesantów, ale nie narzekam, lubię swoją pracę, wertowanie przepisów, map, rozkładów jazdy. W ten sposób wypełniam nie zrealizowane marzenie o podróżach, wycieczkach. Z wykształcenia jestem pedagogiem, uczyłam geografii i siłą rzeczy pragnęłam dużo podróżować i zwiedzać. Wprawdzie po skończeniu seminarium nauczycielskiego we Lwowie i złożeniu egzaminu kwalifikacyjnego krótko pracowałam jako nauczycielka, jednak zamiłowanie do geografii pozostało. Znam bardzo dobrze rozkłady i chętnie służę informacją tym, którzy wybierają się w podróż służbową, a nie są zorientowani w połączeniach. Jestem uczelnianą informacją PKP... To moja praca, a zarazem hobby. Na Uczelni pracuję od 1956 r.: najpierw jako księgowa, później starsza ekonomistka, obecnie powierzono mi rozliczanie kosztów podróży pracowników naukowych i naukowo-dydaktycznych. To ostatnie zajęcie wydaje mi się bardzo ciekawe. Dbam o to, aby delegacja była wypełniona zgodnie z przepisami, a równocześnie bez straty dla pracownika.

Czy zdarza się, że ktoś nieuczciwie wypełni delegację?

Nie, w zasadzie nie ma nadużyć, czasem są pomyłki wynikające z niezajomości przepisów. Bywa, że ktoś się pomyli na swoją niekorzyść. Koryguję to, aby wszystko było w porządku i nikt nie był pokrzywdzony. Staram się współpracować z moimi petentami na zasadzie informacji i pomocy. Człowiek starszy powinien służyć radą i być wzorem dla młodych. Ja szukam u ludzi dobra, uczciwości, dobrych stron ich osobowości i te właśnie znajduję. Dobro i życzliwość wyzwala dobro. Stara prawda filozofii hinduskiej.

Jest Pani długoletnią pracowniczką Uczelni. Czy zawsze była Pani zadowolona ze współpracy z koleżankami i zwierzcchnikami?

Mogę odpowiedzieć tylko w superlatywach. Ze wszystkimi współpracowałam mi się bardzo dobrze, w atmosferze życzliwości i zrozumienia. Potrafię pracować w każdym zespole i przyzwyczajam się szybko do ludzi, ale do Uczelni jestem wyjątkowo przywiązana, tak, że z przykrością myślę o nadchodzącej emeryturze, która mnie z nią rozdzieli. Szalenie lubię tę aurę, jaką ma Uczelnia, środowisko młodości, tak zawsze nowe, odświeżające. Z przyjemnością rano jadę do pracy i przyznam się pani, że przez 17 lat ani razu się nie spóźniłam. Po prostu Uczelnia jest dla mnie drugim domem, jestem z nią bardzo związana.

Rozmawiała: DOROTA ZIEMIŃSKA

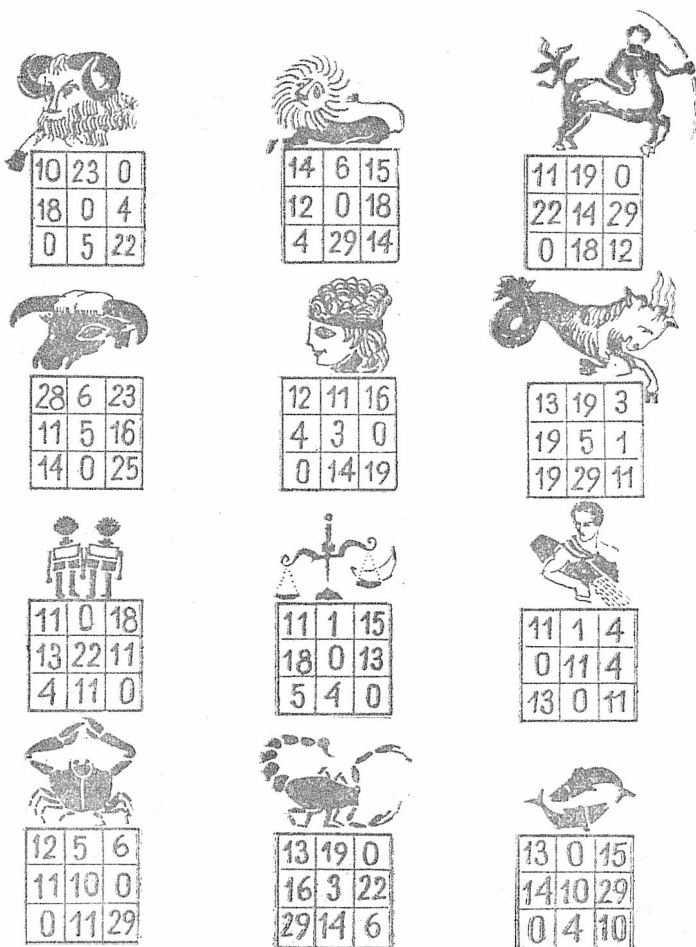


Wiktor Musiał

Wkrótce po ukazaniu się moich pierwszych horoskopów i notatek z astrologii i magii w październikowym numerze „SIGMY”, a także w związku z treścią numerów następnych zapytało mnie kilka osób, jak wyobrażam sobie praktyczne zorganizowanie takiej zabawy i rozrywki, jaką ma być astrologia. W odpowiedzi użyję znów porównania do muzyki i sportu. W obu dyscyplinach, czego nikt nie poddaje w wątpliwość można być albo odbiorcą, a więc słuchaczem lub kibicem albo też można angażować się w sposób czynny. Rola słuchacza i kibica jest zawsze bardzo miła i stanowi niewątpliwie odprężenie. Czy jest tak również w wypadku twórcy i wykonawcy, a więc np. w wypadku kompozytora, wykonawcy-wirtuoza lub trenera albo gracza sportowego? Częściowo tak, ale częściowo i nie. Już Demokryt powiedział, że „piękne rzeczy wypracować można dzięki długiej i uciążliwej nauce, zle natomiast owocują same bez trudu”. A prawdziwa i dobra zabawa i rozrywka powinna mieć w sobie zawsze coś pięknego, to znaczy winna posiadać wartość estetyczną. Domyślamy się, że astrologia jako rozrywka czynna, wymaga pewnego ćwiczenia i wysiłku. Tak więc uważam, że do jakiegoś takiego uprawiania astrologii potrzebna jest przede wszystkim pewna minimalna znajomość astronomii. I tu dla niejednego zaczyna się już pierwszy miły sposób spędzania wolnego czasu, oddając się obserwacjom ciał niebieskich, ich wzajemnych ruchów i położen na tle gwiazdzistego nieboskłonu. Gwiazdy, planety i księżyc obserwować można gołym okiem w czasie wieczornego spaceru samotnie lub we dwoje, w czasie podróży, wycieczki czy podczas ferii, z dala od kominów, dymu i świateł dużego miasta. Można też oglądać ciała niebieskie przy pomocy odpowiednich przyrządów astronomicznych. We Wrocławiu istnieje w tym zakresie nie byle jaka możliwość i okazja, o której po prostu nie zawsze wszyscy wiedzą. Można mianowicie, jak to poinformował mnie w czasie jednego z ostatnich jesiennych spotkań na Wzgórzu Partyzantów zapalony miłośnik astronomii i gorący zwolennik einsteinowskiej teorii względności, Prezes Oddziału Wrocławskiego Polskiego Towarzystwa Miłośników Astronomii p. mgr inż. Aleksander Szafkowski, dokonywać w określone dni amatorskich i zarazem systematycznych obserwacji nieba w ramach działalności młodzieżowej sekcji obserwacyjnej, do której należą uczniowie szkół średnich oraz studenci wyższych uczelni. (W związku z trwającymi aktualnie pracami budowlano-remontowymi na Wzgórzu Partyzantów, wstęp do obserwatorium jest chwilowo utrudniony. Po remoncie Wzgórze Partyzantów znów będzie dostępne dla wszystkich. Członkiem PTMA może zostać w zasadzie każdy po załatwieniu odpowiednich formalności).

Niezależnie od praktycznych obserwacji położen ciał niebieskich, należałoby zajrzeć do jakiegoś podręcznika astronomii, najpierw może do „Astronomii” dla klasy XI Konrada Rudnickiego, a potem do „Astronomii ogólnej” Eugeniusza Rybki. Dalej dobrze byłoby korzystać z „Rocznika Astronomicznego” opracowanego przez Instytut Geodezji i Kartografii, ale posługiwanie się tym rocznikiem wymaga pewnej wprawy. Warto zaznaczyć, że jest tam prawie wszystko czego tylko astrolog zapagnie w zakresie danych teoretycznych dotyczących położen ciał niebieskich. Tak więc znajduje się tam takie dane liczbowe na określony rok, jak: czas uniwersalny, średni czas gwiazdowy Greenwich, wahania biegunów, miejsca pozorne gwiazd, wschody i zachody Słońca dla Warszawy i poprawki dla różnych punktów kraju, pozorne położenie Słońca, azymuty i rektascencje, perigeum i apogeum oraz fazy Księżyca, zakrycia gwiazd przez Księżyc, czas efemerydalny Księżyca, czas efemerydalny planet oraz ich konfiguracje. Dla astrologii istotne znaczenie mają zwłaszcza tzw. pozorne położenia i ruchy ciał niebieskich, w związku z tym, że aforyzmy astrologiczne pochodzą głównie z czasów przedkopernikowskich.

Bardzo wdzięczną lekturę stanowi miesięcznik „Urania”, wydawany przez Zarząd Główny Polskiego Towarzystwa Miłośników Astronomii w Krakowie, przeznaczony dla szkół ogólnokształcących, techników, nauczycieli oraz wszelkiej maści amatorów. W „Uranii” podawane są systematycznie przez G. Sitarskiego stosunkowo dokładne położenia Słońca, planet, Księżyca i planetoid. Jedynym mankamentem tego pisma jest może to, że nie dociera ono regularnie (podobnie jak „Sigma” — sic!) na początku danego miesiąca lub z końcem poprzedniego, ale niekiedy dopiero w połowie. Podobnej praktyki nie stwierdza się np. w wypadku tygodników. Nie mniej warto „Uranie” prenumerować. Jako solidne uzupełnienie wiedzy astronomicznej dla astrologa, doskonale kompendium planetarnogwiazdne stanowić może „Kalendarz astronomiczny na XX wiek” Romana Janiczka (PWN, Warszawa 1962). W kalendarzu Janiczka znajdują się wykresy pozornych ruchów planet opracowane na lata od 1900 do 2001.



Wszelkie dane liczbowe, a zwłaszcza obliczenia własne powinno się w miarę możliwości zawsze sprawdzać samemu i w tym celu m.in. dokonuje się obserwacji ciał niebieskich.

Po zdobyciu elementarnych wiadomości z zakresu astronomii na temat położenia i ruchów ciał niebieskich jakimi są głównie planety i Księżyc, należy dokonywać odpowiednich obserwacji zachowania się ludzi, zwierząt, roślin i pogody oraz przypływów i odpływów morza, co wiąże się z jeszcze jedną przyjemnością, jaką są podróże. Fakty należy notować, układając w tym celu specjalne tabele oraz wyciągać na drodze indukcji enumeracyjnej ogólne wnioski, tworząc właściwe hipotezy. Hipotezy z kolei należy sprawdzać w myśl schematu logicznego: „jeżeli H, to F”, gdzie H stanowi hipotezę wyrażoną w pewnym zbiorze zdań, a F stanowi zbiór zdań opisujących fakty i przyjmować H jako aforyzm astrologiczny o ile tylko zajdzie F, lub rozumując według dedukcyjnego schematu tollendo tolles: „jeżeli H, to F, otóż nie F, a zatem nie H”, odrzucić H. Kto chce, może posługiwać się wyłącznie indukcją statystyczną (byle tylko nie matematyczną!), dokonując odpowiednich estymacji wartości parametrów, a więc estymacji punktowej i przedziałowej oraz weryfikacji hipotez statystycznych będących przedmiotem rozważań.

Dalej sprawa jest już zupełnie prosta. Przyporządkowuje się mianowicie odpowiednio uznany aforyzm liczbie magicznej wyrażającej aurę jednej lub kilku wpływowych planet i podaje horoskop temu, kto sobie tego życzy.

Miesiąc kwiecień jest najlepszym miesiącem w roku dla urodzonych w znaku Wagi. Sprawy, głównie zawodowe, nabierają w tym czasie pełnego, dość burzliwego rozmachu. Następne miesiące przyniosą pewną stabilizację.

Urodzeni w znaku Wagi są szczególnie wrażliwi na sztukę i piękno. Lubią komfort i elegancję. Kładą duży nacisk na miłość i harmonijne związki małżeńskie. W ogóle znak Wagi w astrologii symbolizuje małżeństwo, a także sprawiedliwość. Urodzeni pod Wagą posiadają szczególnie rozwinięte predyspozycje aktorskie i sceniczne.

Do najczęściej spotykanych zawodów, charakterystycznych dla znaku Wagi, należą zawody aktorów, śpiewaków, muzyków, malarzy, dekoratorów, krawców, fryzjerów, fabrykantów zabawek, grawerów, drzeworytników, szlifiery, rzeźbiarzy, architektów, miedziorytników, podróżników, sędziów oraz wyższych urzędników państwowych.

Spośród znanych ludzi w znaku Wagi urodzili się: Dwight Eisenhower, Otto Hindenburg, Piotr Jaroszewicz, Helena Modrzejewska. Z muzyków pod Wagą urodzili się: Grzegorz Fitelberg, George Gershwin, Jean Philippe Rameau, Tadeusz Paciorkiewicz, Michał Kondracki, Ferenc Liszt, Dymitr Szostakowicz, Karol Szymanowski, Giuseppe Verdi oraz Ludwig Weber.

Dzień tygodnia znaku Wagi: piątek, liczba magiczna: 5, planeta: Wenus. Do znaku Wagi należą urodzeni w czasie od 24 września do 23 października oraz w innych miesiącach roku, jeśli tylko w znaku Wagi w momencie urodzenia znajdowała się Wenus względnie ascendent czyli punkt wschodzący lub też w znaku znajdowała się większość innych planet.

Liczbami dodatkowymi w miesiącu kwietniu dla Wagi są: dla pierwszej dekady (4.X—13.X) w pierwszej dekadzie kwietnia 10, w drugiej 22, oraz w trzeciej 16; dla środkowej dekady (14—23.X) w pierwszej dekadzie kwietnia 27 i w drugiej 23; dla ostatniej dekady (24.X—2.XI) w pierwszej dekadzie kwietnia 18 i w środkowej 11.

Horoskop dla uczelni podają liczby: w sprawach „zewnętrznych” w pierwszej dekadzie kwietnia 26, w drugiej 23 oraz w ostatniej 13; w sprawach „wewnętrznych” w pierwszej dekadzie 5, w środkowej 18 oraz w ostatniej 7 i 23.

Poza urodzonymi w znaku Wagi, w swoim żywiole, choć nie bez przeszkód, będą się czuć urodzeni w znaku Barana. Może na tym właśnie polega ich zadanie życiowe, przynajmniej w tym roku.

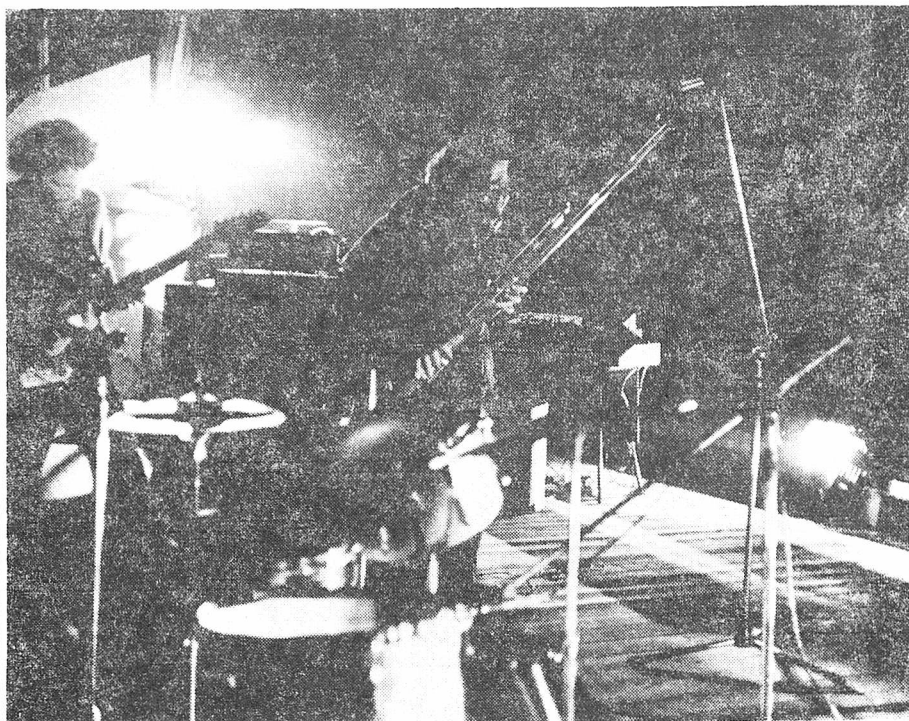
P.S. Za błędy w styczniowym artykule najmnocniej przepraszam.

WIKTOR MUSIAŁ

Fot. A. ADAMCZYK



JAZZ NAD ODRĄ 73



Nie lubię jubileuszy. Nie lubię rocznic, obchodów, celebracji i wielkiej pompy. I już sobie ostrzyłem flamaster na jubileuszowy „Jazz nad Odrą”, gdyż spodziewałem się, że organizatorom nie uda się wyrwać ze szponów złych polskich tradycji jubileuszowych. A jednak udało się. Nikt nie przemawiał, nie było białych koszul i krawatów, ani wstęgi, ani prezydium. Czyli było po prostu — normalnie. Miejscami bardzo dobrze, miejscami źle. Dobra była reklama (czyli tzw. propaganda) — nie tylko afisze i plakaty (oczywiście, jak co roku — doskonały plakat Sawki), ale i transparenty, ogłoszenia w prasie, dekoracje na ulicach miasta. Nawet bilety w stubilach były, można było bez znajomości dostać bilet na koncert laureatów! I, co ciekawsze nie wynikało to wcale ze zmniejszenia zainteresowania jazzem. Wprost przeciwnie — konsumentów muzyki było w tym roku na pewno więcej niż w latach ubiegłych.

Teraz ad rem czyli o „Jazzie nad Odrą 73”. Zaczęła się ta impreza konferencją prasową w „Arce”. Konferencja była prawie w całości poświęcona... nie, nie jazzowi — skandalowi, któremu na imię Dewastacja Starego Pałacyku. Warto przypomnieć, że „Jazz nad Odrą” ze Starego Pałacyku wyszedł w świat i tenże klub (czytaj: ruina) jest jego prawdziwym domem. Ale zdaje się, że we Wrocławiu lepiej już pisać o fatalnej komunikacji czy nieprzyjmowaniu butelek po piwie w sklepach niż o „Pałacyku”. Efekt ten sam, czyli żaden a mniej zdrowia się traci.

Ale teraz już o muzyce. Mogliśmy jej słuchać w ramach konkursu festiwalowego (w dużym studio Polskiego Radia), narażając się na usłyszenie czegoś, co nie muzyką, lecz chałturą można nazwać lub też skoncentrować się na imprezach towarzyszących, które z założenia gwarantowały najwyższy poziom wykonania. Imprezy towarzyszące są instytucją istniejącą przy każdym chyba festiwalu. Wydaje mi się jednak, że należy zachować umiar przy jej rozbudowywaniu, bo w końcu kiedyś nie zauważymy, że ktoś np. zlikwidował koncerty konkursowe (było ich cztery plus koncert laureatów, na ogólną ilość imprez trzydzieści). Ja jednak uważam te cztery koncerty (tj. występy około dwudziestu zespołów) za najistotniejszą część festiwalu. Poziom imprezy był — niestety — wyrównany. Niestety — bo choć nie słyszeliśmy wykonania prawdziwie skandaliczne pod względem poziomu, ale też nie dane nam było usłyszeć czegoś genialnego, olśniewającego (dawniej to się zdarzało — np. Nahorny). Były jednak momenty, które cieszyły. Po raz drugi na „Jazzie nad Odrą” gościliśmy krakowskie *Laboratorium* i po raz drugi słuchaliśmy ich z dużą przyjemnością. Filarem zespołu jest Marek Stryszowski — wokalista, a raczej — najlepszy instrumentalista grupy, gdyż jego głos jest najdoskonalszym, najbardziej posłusznym wykonawcy instrumentem. To zdumiewające, z jaką łatwością ów monumentalnie wyglądający wokalista w parę taktów przebiega kilka oktaf, przechodząc płynnie z barytonu w sopran. Zespół poczynił od ubiegłego roku ogromne postępy. Zrezygnował z pretensjonalnych recytacji pianisty. Zamienił też

fortepian strunowy na elektryczny (nie jestem pewien, czy to akurat wyszło na dobre grupie). Nie po raz pierwszy słuchaliśmy również pianisty Henryka Siaboszowskiego. Zdobyl on już na naszym festiwalu kilka nagród — jako solista i kompozytor. W tym roku wystąpił wraz z trójką muzyków, z których wszyscy okazali się doskonałymi instrumentalistami. Dlatego też uważamy, że należy wymienić wszystkich: Jan Gonciarczyk (b), Jerzy Bezucha (dr) oraz — moim zdaniem najlepszy — Zygmunt Kaczmarek (viol, guit). Skrzypka Kaczmarek pamiętamy z występów z krakowskim teatrem STU w *Senniku Polskim*, gdzie grał w zespole akompaniującym.

Na uwagę zasługuje również gdańska grupa *Akcenty*, grająca wprawdzie muzykę z pogranicza jazzu i rocka (z przewagą tego ostatniego), ale za to grająca bardzo dobrze. Kompozycję lidera zespołu Sławomira Łosowskiego (wykorzystujący do tworzenia muzyki elektroniczny syntetyzator dźwięku) pt. *Siódme żebro* uważam za jedną z najlepszych wśród festiwalowych prezentacji.

Zauważalna była również obecność wrocławskich jazzmanów: big band *Kupa* Wrocławskiego Klubu Jazzowego, grupa *Nurt* oraz combo *Spisek Sześciu* — w konkursie, a w imprezach towarzyszących — big band Zbigniewa Piotrowskiego i *Sami Swoi* — ubiegłorocznymi laureaci.

Patrząc na konkurs festiwalowy jako na całość można zauważyć pewne prawidłowości zarysowujące się ostatnio coraz ostrzej w polskim ruchu jazzowym. Przede wszystkim — brak zainteresowania jazzem tradycyjnym. Nie ubolewam nad tym faktem, gdyż sam nie przepadam za muzyką eksztrawaganą i sztucznie ożywianą, nie ufam też zbyt wielu przedstawicielom najmłodszego pokolenia muzyków, próbującym wypowiedzieć się w stylu lat dwudziestych. Cóż więc pozostaje? Oczywiście — awangarda. Najchętniej starają się grać free. Nasza domorosła „awangarda” zdaje się być skrzępowana tym „free” nie bardziej niż muzyk symfoniczny partyturą. Dochodzi do tego, że zespoły, grające na codzień w swoich klubach „Mammy Blue” czy inne „baterflaje” nagle przed jakimś festiwalem np. kaliskim biorą się za awangardę i za wszelką cenę starają się zdobyć jakiś listek laurów. Często im się to udaje... Prawdziwie „wolne” wydały mi się tylko dwie grupy: *Ossian* i *Sesja 72*. Obie profesjonalne, obie występujące w charakterze „towarzyszących atrakcji”. O „nabożeństwach” *Ossiana* pisało się ostatnio wiele, wybrańcy mogą posłuchać ich płyty (z serii „biały kruk czarnego krąka” Klubu Płytyowego PSJ) z fragmentami słynnej *Księgi deszczu*. Oczywiście, muzyka *Ossiana* niewiele ma wspólnego z tym, co rozumiemy pod pojęciem jazz, jest w niej jednak coś porywającego, mistycznego i witalnego zarazem, co nie pozwala przejść obok niej obojętnie. Druga z wymienionych przeze mnie grup — *Sesja 72* to zespół naszego najciekawszego basisty Helmuta Nadolskiego. Nadolski zaszedł w swych nieustannych poszukiwaniach bardzo daleko. Być może za daleko, by liczyć na tzw. popularność. Kontrabas i Nadolski tworzą jedno ciało, dziwny

instrument, będący źródłem zaskakujących dźwięków. Błędem organizatorów było umieszczenie *Sesji 72* w programie gigantycznego koncertu w Hali Ludowej. Nasza publiczność przyjęła go chłodno, a nawet niechętnie. Drugim poważnym błędem było umieszczenie w wyżej wspomnianym koncercie pianisty Wojciecha Skowrońskiego (wraz z niesłychanie rozbudowanym zespołem, aż po bardzo marny — tak głosowo jak i wizualnie — trzy-osobowy chór żeński). Grupa Skowrońskiego zaprezentowała efekciarski rock, pełen zmianierowanych grepsów lidera. To żenujące widowisko zakończyła burza oklasków, co może napawać tylko smutkiem. Skąd wziął się mit o jazzowo wyrobionej wrocławskiej publiczności?

„Jazz nad Odrą” jest imprezą potężną i podziwiać należy grupę zapaleńców — organizatorów (z weteranem Wojciechem Siwkim na czele), że potrafią nad tą machiną zapanować. Bywa jednak, że coś w tym organizmie szwankuje. Było tak z koncertem finałowym w Hali Ludowej, na który część zaproszonych gości nie przyjechała (nie przybyli ci, których występ miał być największą atrakcją wieczoru); było tak na koncercie laureatów — część miejsc posiadała... dwóch pretendentów do siedzenia. A ponad wszystkim panowała telewizja, której obecność żadnej imprezie jeszcze na dobre nie wyszła.

Czas już najwyższy na jakieś ogólniejsze refleksje. Nie potrafimy odpowiedzieć na stereotypowe pytanie: czy ten festiwal był lepszy od poprzednich. Prawdopodobnie był tej samej klasy. Abstrahując jednak od poziomu muzycznego, ze smutkiem stwierdzam, że „Jazz nad Odrą” coraz bardziej traci swój niepowtarzalny, kameralny i specyficzny charakter. Coraz bardziej staje się potężną masową imprezą ściągającą nie tylko swoich wielbicieli, ale także tłumy snobów, którzy chcą „zaliczyć” i „pokazać się”. Ciekawe gdzie są ci koneserzy, tarasujący drzwi festiwalowych sal koncertowych podczas np. występu Tomasza Stańki w filharmonii? To zjawisko nie wróży nic dobrego „Jazzowi nad Odrą”. A może by tak zmienić nazwę imprezy, ukameralnić festiwal? Może wróciłyby tamte lata prawdziwego szczerego jazzu; jazzu dla tych, którzy go kochają?

Na zakończenie — słowo o werdykcie jury. W tym roku postanowiono nie rozróżniać kategorii wykonawców (typu: jazz nowoczesny, tradycyjny, kompozycje, wykonanie etc.), postanowiono po prostu nagrodzić najlepszego. Ale i to okazało się niełatwe. W końcu jury pod przewodnictwem Zbigniewa Piotrowskiego (Wrocław!) przyznało I nagrodę Kwartetowi Henryka Siaboszowskiego i krakowskiemu *Laboratorium*.

WOJCIECH KOZAK



Zdjęcia:
M. SIUDYM



Poeta prowincjonalny

Ryszard Milczewski-Bruno w swoim drugim tomie¹⁾ kontynuuje poetykę zaprezentowaną w *Pobokach*. Co prawda nie rozwija tej poetyki w sposób rewolucyjny, ale tom drugi, moim zdaniem, jest bardziej konsekwentny i równy od pierwszego. Wszystkie znane nam z *Poboków* cechy tej poezji jasnieją tu pełnym blaskiem. Jest to poeta swoiście lingwistyczny, który swoją poetykę buduje z potocznej polszczyzny, wykorzystując także wyrażenia gwarowe. Jego swoisty straceńczy humor, wyobrażenia, irracjonalny liryzm — wszystko to sprawia, że Milczewski-Bruno bywa nazywany „świętym Brunem”, jak np. w artykule Krzysztofa Nowickiego w *Tygodniku Kulturalnym*. Jego status — to status poety niemal romantycznego. Jego życiowe gesty są przedłużeniem jego poezji. Zresztą to, że w życiu Milczewski-Bruno zachowuje się jak bohater swoich wierszy, sprawia mu masę kłopotów na codzień.

Milczewski-Bruno rehabilituje prowincję, codzienność, widzi tu tyle rzeczy dziwnych, że według niego jest to wymarzona kraina, gdzie można być poetą. Zdaniem Milczewskiego-Bruna nawet jest to główny warunek stania się poetą: żyć na prowincji. Prowincja jest bowiem wolna od salonowej sztampy, minoderii, pozerstwa. Prowincja nie patrzy na Paryż. Na prowincji można być bliżej z substancjami świata. Milczewski-Bruno jest poetą prowincjonalnym w takim samym znaczeniu, w jakim William Faulkner jest pisarzem prowincjonalnym (oczywiście tout proportion gardée).

Powiem jeszcze inaczej: Milczewski-Bruno ma swoją własną prowincję powietrzną. A my, czytelnicy jego wierszy, możemy oddychać tym powietrzem jedynie w rzadkich chwilach w naszym życiu. Wtedy, kiedy codzienność i rutynę naszego zawodu, naszej pracy domowej przerywa jakaś nieoczekiwana historia, jakieś nagłe wydarzenie, czy też kiedy jesteśmy zmęczeni i widzimy w powietrzu kształty naszych ulatujących myśli. Mówimy sobie wtedy poetycko: „Dziwne to wszystko”.

Bohater wierszy Milczewskiego-Bruna znajduje się ciągle w takim transie. I jeśli już mamy zostać przy wspomnianym wyżej statusie „świętego”, bohater ten w swojej powietrznej prowincji jest kimś w rodzaju Szymona Słupnika, tylko nie tak ascetyczny, a nawet przeciwnie: dopuszczający na swój słup rozkosze życia. Ale również jak Szymon Słupnik przywiązany jest on do straceńczych gestów, które wyzywają Nieznane i którym Nieznane, na tej zasadzie, że gesty są straceńcze, winno sprzyjać.

Ryszard Milczewski-Bruno i Henryk Wolniak laureatami Nagrody im. T. Peipera za rok 1972

Dnia 22 stycznia 1973 r. jury składające się z członków byłego „Ugrupowania Literackiego 66” oraz z twórców spoza tegoż ugrupowania — przyznało Nagrodę im. T. Peipera za rok 1972 — za najciekawsze tomiki poetów młodego pokolenia ex aequo Ryszardowi Milczewskiemu-Bruno za tomik „Podwójna należność” (LSW) oraz Henrykowi Wolniakowi za tomik „Proch” (Ossolineum). W skład jury wchodził z byłego „Ugrupowania 66”: Ernest Dyczek, Lucjan Kiełkowski, Bogusław Kierc, Edward Korobłowski, Maria Pawlikow-

ska, Jerzy Pluta, Janusz Styczeń (przewodniczący jury); spoza ugrupowania: Janusz Kryszak, Stanisław Srokowski, Anastazy Wiśniewski.

Najpoważniejszymi kontrkandydatami byli: Stanisław Barańczak („Dziennik poranny”) i Adam Zagajewski („Komunikat”). Dwaj jurorzy uznali, że żaden z ubiegłorocznych tomików poetów młodego pokolenia nie zastępuje na Nagrodę im. T. Peipera.

Wieczór laureatów odbył się w połowie lutego w Klubie Związków Twórczych we Wrocławiu.

„Proch” Wolniaka

Henryk Wolniak po siedmioletniej przerwie (debiut: *Horyzont* — 1965), wydał drugi tomik poetycki *Proch*²⁾. Tytułowy *proch* jest odwołaniem do biblijnego wersetu (z *prochu* powstałeś i w *proch* się obrócisz) jak również można go odnieść do Człowieka jako istoty znikomej wobec Wszechświata lub może oznaczać szczątki po spaleniu zwłok. Wieloznaczny tytuł tomiku jest adekwatny do zawartości poetyckiej i odnosi się wrażenie, że to właśnie wieloznacznemu tytułowi podporządkowana jest poetycka wizja świata. Centralnymi postaciami świata *Prochu* są Bóg-Człowiek i Człowiek-bóg, które ustawicznie prowadzą dialog o sobie i o problemach świata. Można powiedzieć, że egzystencjalizm (i to raczej Kierkegaarda i Heideggera) jest „ideą sprawczą” tej poezji.

Podmiot liryczny jest samotny, zmuszony stale dokonywać wyboru szukając Prawdy jedynie w sobie samym, w opozycji wobec wszelkiej „ogólności” i anonimowego tłumu. Z dwójstej budowy postaci świata poetyckiego i dialogu jakie te postacie prowadzą, wyraźnie zarysowuje się postać Boga. Jest to Bóg w ujęciu katolickim, ale postawa „ja” lirycznego nie zawsze jest wobec niego pokorna: często Człowiek jest w opozycji, chciałby przekonać o swoich racjach, buntuje się przeciw odwiecznemu porządkowi świata a równocześnie uświadamia swoją beznisność.

Powtarzającym się motywem w poezji Wolniaka jest motyw śmierci, która przecież jest nieuchronna a wobec tego należy zawsze oceniać życie z punktu widzenia przyszłej śmierci. Śmierć w poetyckiej wizji Wolniaka urealnia się i jest wszechpotężną siłą paraliżującą wszelkie ludzkie poczynania. Prawie w każdym wierszu Wolnia-

ka zarysowana sytuacja poetycka jest tylko pretekstem do ukazania wizji śmierci i Człowieka w bezpośrednim zetknięciu się ze śmiercią: *Spojrzyć śmierci w oczy // wyrastają skrzydła // Trudno się będzie // w tym dniu polapać // nie czyniąc szumu*. Można powiedzieć, że każdy wiersz *Prochu* brzmi jak „memento” zarówno dla czytelnika jak i dla autora.

Wprawdzie Wolniak porusza ważne problemy egzystencjalne, ale to nie one stanowią o wartości tej poezji; problemy egzystencjalne były poruszane w literaturze od XIX w. przez wielu autorów. Ważne jest więc jak poeta prezentuje te problemy, w jaki sposób pobudza czytelnika do aktywnej percepcji. Wolniak wypracował w *Prochu* indywidualny sposób wypowiedzi poetyckiej, co jest niewątpliwym osiągnięciem: jest „rozpoznawalny” wśród poetów młodego pokolenia. Tworzenie poezji to nie tylko „praca nad słowem”, to także odrzucanie ze słowa nawarstwionych latami różnych znaczeń i usuwanie z niego obciążeń znaczeniowych aby przywrócić mu pierwotną świeżość.

Ciekawa jest również metafora wierszy często zaskakująca, ale zawsze trafna, nadająca wierszom świeżość poetycką. W każdym wierszu następuje zderzenie patosu z ironią, spraw boskich ze sprawami Człowieka, ale zawsze przedstawionych tak, że widoczny jest w nich dystans autora, który sprawia, że wiersze nie są retoryczne. Są to tylko niektóre — zasygnalizowane jakże skrótowo — walory poezji Wolniaka. Moim zdaniem jest to jeden ze znaczących tomików wydanych w ostatnich latach.

MARIA PLUTA

¹⁾ Ryszard Milczewski-Bruno: *Podwójna należność*. Warszawa 1972, LSW, s. 72.

²⁾ Henryk Wolniak: *Proch*. Wrocław 1972 Ossolineum s. 100.

F r a s z k i

Współczesna Wenus

Wenus przypomina
z tego względu raczej,
że jak ona ręk nie ma
... do pracy.

Inkwizycja

Na stosie książek
wielce uczonych,
niejeden autor
został spalony.

Hipochondryk

Żyjąc własną chorobą —
zatrzuwa życie
wielu osobom.

A'la grająca szafa

Wszystko ci zanuci
gdy monetę wrzucisz.

Więcej trzeba nam ludzi
— wie o tym nawet dziecko —
na miarę swej epoki,
nie na miarę krawiecką.

KAROLINA KUSEK



H. Wolniak jako Villon

Fot. T. ZALESKI

WIERSZEWIERSZEWIERSZE

Stanisław Chaciński

z legend (4)

a zapanował był w maju pokój
nad ranem, jedynie na pierwszym piętrze, innego
pokoju nie było — kilku z nas słyszało
jak krew w żyłach, i poza nimi, i świerk za oknem
srebrzyły się a psy doskakiwały i
odchodziły. nie było więc
pokoju w lęku, w opuszczonej czułości ani
w kraju tego sferach najwyższych
w knajpach i z nich rynsztokach odpływających
promieniście, co życzliwie zeznali
podli i portierzy; barmanki i ci z wspólnej celi
nie będąc pewni kompetencji śledczych
zeznań odmówili bowiem nie było
pokoju w gwieździe gdy się w wysokim
własnym odbiciu
rozpryskiwała jak
kropla upadła na szynkwias lub
niewłaściwe słowo ciśnięte o kartkę stąd też pokoju
nie było także w metalu tępych czcionek
maszyn protokółantów, gdyż ułatwiając śledztwo
nawet policji wszystkie wiersze zeznał w swym
chuligańskim czynie społecznym. tamtej nocy

w maju, gdy rafał wojacek szczerze
dopuścił psy do gardła i odszedł w pokoju
w pokoju na pierwszym piętrze to tak jakby
w boju poległ poeta za obywatelską rzecz

z legend (7)

a kiedy zdotaliśmy już wszystko
przerobić na język i jesteśmy syci
ozorkiem w galarecie mimo że to język
abstrakcyjny na zimno warto
w chwili absolutnego pokoju
jeszcze ów cytat przerobić
jak lekcję: „Obłęd
militaryzacji Ziemi już w tej chwili
nie jest mały. Nawet
przy dobrej woli obydwu stron grozi
wybuchem po prostu
przez pomyłkę.”

chwilowo nieomylni
bo syci ozorkiem w sosie chrzanowym
po przeglądnięciu na gorąco
walizek gotowych do ucieczki po odłożeniu
plecaków przed natarciem każdy w swego pokoju
abstrakcyjnym kraju mamy jeszcze sposobność
usiąść w fotelu i pod słońcem
przeglądać egzemplarz pisma zawsze skorych
ponieść ofiarę z krwi w imię
pokoju polec z honorem, albo
egzemplarz pisma amatorsko
ruch wspierających a więc z entuzjazmem
inspirujących: „Teraz zaczynamy być
świadkami militaryzacji przestrzeni
kosmicznej. Do czego to
może doprowadzić? Chyba nawet
do konfliktu kosmicznego, rozumianego
nie w sensie miejsca, ale
czasu i przestrzeni.”

w ten sposób
gdyśmy już rzeczywiście wszystko co nasze
przerobili jak ostatnią lekcję przerobili
ostatecznie w roku 1968
z 6 numeru „Przeglądu Powszechniej
Samoobrony” winniśmy wynieść pewność że
wystarczy zaatakować by zginąć i być wniebowziętym
iż
prawnuka zaatakowanego nasz cios też nie minie

VILLON NIE PROSI O ŁASKĘ

Zaciągnięta kurtyna. Zza kurtyny głos — :

*Franciszek jestem, co gorszy was,
rodem z Paryża koło Pontoise.
Gdy stryk mi szyję zdusi dla mych skaz,
nie strzyma tylek szyi, proszę was... —*

Do kurtyny podchodzi dziewczyna. Nagłym ruchem ręki
rozsnuwa ją. Ogarnia nas przerażenie — na stryczku wisi
człowiek! Do wisielca podchodzi dziewczyna. Odcina go... —

W takiej oto scenerii rozpoczął się spektakl Teatru Poezji
„ŹRÓDŁO”. Inauguracyjny występ — 24.I.1973 r. w Klubie
Nauczyciela — Villon nie prosi o łaskę podobał się. To
było coś nowego — Słowo stało się Ciałem!

Ekspresja słowa poetyckiego ballad Villona z ich meta-
fizyczną inscenizacją, trafiły w wyobraźnię widzów. Przeży-
liśmy dramat życiowy samego autora Wielkiego Testamentu.

Gra — należy podkreślić — (aktorzy w przeważającej czę-
ści są nauczycielami wrocławskich szkół) — wypadła, jak na
debiut, całkiem dobrze. Wielką dynamiką mowy i gestu,
oznaczyła się Jadwiga Jobell-Kalinowska (grała Płatnerkę).
Uwagę zwróciła kreacja Henryka Wolniaka; inicjatora
Teatru i reżysera powyższego spektaklu. Wolniak (grał sa-
mego Villona) przeszedł siebie. Poeta świetnie wczuł się
w drugiego poe. Zespół pracuje ze sobą dopiero kilka mie-
sięcy i — trzeba przyznać — jest już dobrze zgrany. Umie-
jętne wykorzystanie znikomej ilości rekwizytów (drabiny,
czerwonego dzbana, chustki) złożyło się na dodatkowy ko-
loryt tych jedynych w swoim rodzaju ballad.

Summa summarum: debiut Teatru „ŹRÓDŁO” wypadł do-
brze. Duża w tym zasługa reżysera Henryka Wolniaka, któ-
ry ukazał Villona takim jakim jest naprawdę, zawarł pełnię
jego filozofii życiowej.

Należy życzyć zespołowi „ŹRÓDŁA” dalszej owocnej pra-
cy i nowych, wspaniałych sukcesów.

informuje

Senat obradował nad...

W dniu 23 lutego odbyło się kolejne posiedzenie Senatu Politechniki Wrocławskiej na którym rozpatrywano następujące zagadnienia:

- założenia polityki wydawniczej w dziedzinie skryptów i pomocy naukowych na lata 1973—1975 oraz plan jej realizacji;
 - analiza współpracy z zagranicznymi uczelniami i ośrodkami naukowymi oraz kierunki jej rozwoju;
 - plan konferencji naukowych na rok 1973;
 - analiza działalności SNS;
 - projekt podziału budżetu na 1973 rok;
 - problem autorstwa i współautorstwa;
 - pojęcie publikacji i jej rodzaje,
- oraz sprawy bieżące i personalne.

Szczególnie ożywioną dyskusję wywołał poruszony problem współautorstwa publikacji naukowych, a to głównie w przypadku, kiedy współautorzy nie są równorzędni stanowiskiem, bądź też występuje między nimi zależność służbowa.

m.

Organizacje społeczne

Rada Zakładowa ZNP przesłała do rad oddziałowych zawiadomienie o przyjmowaniu zgłoszeń na wczasy i wycieczki do NRD organizowane w ramach współpracy z Technicznym Uniwersytetem w Dreźnie.

*

Podczas zebrania Zarządu Uczelnianego AZS w dniu 5 lutego br. prezesem klubu został wybrany dotychczasowy v-ce prezes Ryszard Sobierski.

*

Uczelniana Organizacja ZSP czyni przygotowania do umożliwienia studentom wakacyjnych wyjazdów za granicę. Przewiduje się, że z wyżej wymienionych form wyjazdów skorzysta ponad 300 studentów.

Nasi elektorzy

Dnia 24 lutego 1973 roku profesorowie i docenci Politechniki Wrocławskiej wybrali elektorów uprawnionych do wyboru członków Rady Głównej Nauki Szkolnictwa i Techniki. Mandaty elektorskie otrzymali: doc. ZDZISŁAW BODARSKI, doc. JÓZEF GIERCZAK, prof. BOHDAN GŁOWIAK, doc. WIEŚLAW GRUDZEWSKI, prof. HENRYK HAWRYLAK, prof. JERZY SCHROEDER, doc. STANISŁAW SOBOLEWSKI, prof. KONSTANTY WOŁKOWIŃSKI.

Personalia

Z dniem 1 marca br. I zastępcą dyrektora Instytutu Metrologii Elektrycznej został mianowany dr inż. GRZEGORZ HILER.

*

Z dniem 1 marca br. nominacje docentów otrzymali dr ZYGMUNT GAŁDZICKI i dr TADEUSZ CZARNY z Instytutu Organizacji i Zarządzania.

*

Z dniem 1 marca br. zastępcą dyrektora Instytutu Historii Architektury Sztuki i Techniki został mianowany dr EDMUND MAŁACHOWICZ.

Konferencje

W dniu 9 marca br. odbyło się, zorganizowane przy udziale Instytutu Inżynierii Lądowej, posiedzenie Zarządu Sekcji Głównej Techniki Mostowej Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Komunikacji. Rozpatrywano propozycję zorganizowania w 1975 r. przez Sekcję Główną TM SiTK oraz I-14 Politechniki Wrocławskiej, konferencji naukowej na temat: *Bezpieczeństwo budowy mostowych.*

Nauczanie

Z dniem 15 lutego br. otwarto w Studium Języków Obcych nowe laboratorium językowe produkcji polskiej. Obecnie z nauki w laboratoriach poza pracownikami naukowymi ko-

rzysta tygodniowo 90 grup studenckich.

*

Z dniem 15.02.73 r. wprowadzono w sieci bibliotecznej bezrewersowy system wypożyczeń.

*

Wyniki zimowej sesji egzaminacyjnej w Politechnice przedstawiają się następująco:

Studia dzienne

zarejestrowano na sesję	6.859 studentów
dopuszczono do sesji	6.662 studentów
zaliczyło semestr	6.240 studentów
	tj. 91%

Studia dla pracujących

zarejestrowano na sesję	3.118 studentów
dopuszczono o sesji	2.919 studentów
zaliczyło semestr	2.756 studentów
	tj. 88,5%

Najwyższą sprawność nauczania na studiach dziennych osiągnął Wydział Mechaniczno-Energetyczny (97,7%), najniższą Wydział Budownictwa Lądowego (84%). Najniższą sprawność według poszczególnych lat wykazał pierwszy rok studiów. Na studiach wieczorowych najwyższą sprawność nauczania osiągnął Wydział Mechaniczno-Energetyczny (99%), a najniższą Wydział Inżynierii Sanitarnej (82,8%).

Nauka

W dniach 9 do 13 lutego br. odbyło się w Bierutowicach seminarium kadry kierowniczej Instytutu Inżynierii Lądowej, którego tematem była *Problematyka podstawowa w działalności Instytutu.*

*

Studia doktoranckie w Politechnice liczą 487 słuchaczy, w tym 244 z rekrutacji roku akademickiego 1972/73. Uczestników studiów doktoranckich pracujących równocześnie zawodowo jest 306, nie pracujących — 181 (w tym 115 osób pobiera stypendia z funduszy Politechniki, 57 fundowane przez zakłady pracy kierujące swych pracowników na studia), a 9 słuchaczy jest równocześnie studentami Uczelni studiującymi według indywidualnych programów.

*

Dnia 27 lutego br. odbyło się pierwsze posiedzenie Komisji Rady Naukowo-Dydaktycznej Instytutu Metrologii Elektrycznej do spraw rozwoju metrologii. Obok pracowników Instytutu Metrologii w skład Komisji wchodzi przedstawiciele innych wyższych uczelni technicznych w kraju.

*

Politechnika Wrocławska jest reprezentowana przez 24 profesorów i 5 docentów w komisjach, sekcjach i podsekcjach Komitetu Organizacyjnego II Kongresu Nauki Polskiej.

Sprawy organizacyjne

Z dniem 1 marca 1973 r. został utworzony w Instytucie Inżynierii Ochrony Środowiska: Zakład Ochrony Przeciwwybuchowej. Na stanowisko kierownika Zakładu powołano doc. dr inż. SŁAWOMIRA HULANICKIEGO.

Sprawy studenckie

Ostatnio nastąpiło podpisanie umowy o współpracy między studentami Wydziału Górniczego Politechniki Wrocławskiej zrzeszonymi w ZMS i ZSP oraz ZMS-owcami Zakładu Doświadczalnego „Cuprum” w Lubinie. Umowa ma na celu zacieśnienie więzi Politechniki z placówką badawczą. Korzyść będzie obopólna. Studenci Wydziału już w czasie studiów zetkną się z problematyką stawianą im później przez przemysł. ZMS-owcy z „Cuprum” zadeklarowali także swą pomoc i opiekę nad praktykantami i stażystami Politechniki. Z kolei Wydział Górniczy zaproponował ze swej strony prowadzenie w ramach obozów naukowych, badań z zakresu górnictwa rud miedzi; wyniki tych badań będą mogły być wykorzystane przez Zakład w Lubinie.

*

W styczniu 1973 r. udzielono studentom 310 upomnień dziekańskich głównie za nieprzestrzeganie regulaminu. Najwięcej, bo 108 upomnień otrzymali studenci Wydziału Mechanicznego.

Współpraca z zagranicą

W dniu 2 marca br. przebywała w Politechnice dr Natalia Bujanowa z Uniwersytetu w Nowosybirsku. Omawiano sprawy bliższych kontaktów pomiędzy uczelniami i m.in. możliwości przyjęcia na praktykę we Wrocławiu grupy studentów z Nowosybirska.

*

W Bibliotece Głównej i Ośrodka Informacji Naukowo-Technicznej Politechniki Wrocławskiej gościł przedstawiciel Instytutu Informacji Naukowej w Filadelfii — J. Elliott Pettersson, który w ramach seminariów Zakładu Systemów Informacyjnych wygłosił dwa wykłady na temat Indeksów Cytatów Naukowych. Wykłady ilustrowane filmem i przezroczami wygłoszone zostały w języku angielskim i tłumaczone były na język polski.

*

W ostatnim czasie wyjechali na staże naukowe do Austrii — dr inż. Franciszek Romanow z Instytutu Konstrukcji i Eksploatacji Maszyn, oraz do Dreźnie — mgr inż. Bronisław Gosowski, mgr inż. Włodzimierz Wydra z Instytutu Budownictwa i mgr inż. Rudolf Grzegorzak z Zakładu Informatyki.

Współpraca z przemysłem

W dniu 5 marca br. odbyło się w Instytucie Inżynierii Lądowej spotkanie kierownictwa Instytutu z delegacją Centralnego Zarządu Dróg Publicznych, na którym ustalono zasady współpracy między jednostkami Ministerstwa Komunikacji i Instytutem I-14 naszej Uczelni, ujęte woletoletnią umową.

Nasi absolwenci

Zielonogórskie Przedsiębiorstwo Budowlane „Nadodrże” w Zielonej Górze przesłało na ręce Rektora wyrazy uznania za przygotowanie do zawodu absolwentów mgr inż. JANA KAŁUŻĘ i mgr inż. STANISŁAWA SZOREKA pełniących w przedsiębiorstwie odpowiedzialne stanowiska, mimo krótkiego stażu (uczelnię ukończyli w 1969 r.).

ZMS

17.III.73 r. odbyło się uroczyste, poszerzone Plenum ZU ZMS poświęcone podsumowaniu całokształtu pracy organizacji. Miłym akcentem było wręczenie Organizacji złotej odznaki im. J. Krasickiego.

*

17.III.73 roku w Piwnicy Świdnickiej odbył się bal dla wszystkich członków organizacji ZMS p/n „Grand ball”. Jedną z licznych atrakcji był występ zespołu „Fram”.

*

22.III. odbyło się plenum ZW ZMS poświęcone sprawom studenckim, w szczególności ocenie dorobku organizacji ZMS w środowisku studenckim.

*

W dniach 6-8 kwietnia br. odbył się III Ogólnopolski Festiwal Filmów Studenckich we Wrocławiu. Poza pokazami zgłoszonych filmów, dla uczestników przygotowano bogaty program imprez artystycznych, spotkania ze znanymi reżyserami filmowymi, którzy zasiadali w jury festiwalu. W walce o pierwszą nagrodę wziął udział AAKF „Kwant”, który nie tylko przygotował filmy ale przejął większość spraw organizacyjnych festiwalu.

*

24.II.73 r. odbył się występ zespołu „Fram” w klubie „Znicz”. Od kilku lat klub nie posiadał własnego zespołu mimo to, dość często liczne grupy artystyczne chętnie go odwiedzały. Zespół „Fram” ciekawym programem przyciągnął wielu miłośników piosenki. Miło i przyjemnie można spędzić wieczór w klubie od kiedy przestali tutaj bywać ludzie zakłócający spokój i nic ze studentami nie mający wspólnego. Jest to z pewnością duża zasługa nowego zarządu klubu. Funkcję kierownika pełni obecnie Marek Różyński, z-ca kierownika — Zbigniew Sawicki, plastyk — Ireneusz Kaczor, d/s technicznych Andrzej Babiń, stronę finansową zajmuje się Jan Nycnerski.

AZS

VIII Krajowy Zjazd AZS

Ważnym wydarzeniem w rozwoju sportu akademickiego będzie VIII Krajowy Zjazd AZS, który odbędzie się w Warszawie w dniach 14—15 kwietnia. Delegatami naszej Uczelni są:

RYSZARD SOBIERSKI — prezes KU AZS Politechniki Wrocławskiej
MIROSLAW PAŃKÓW — członek Prezydium Zarządu Środowiskowego (były prezes KU AZS)
ZBIGNIEW SADURSKI — v-ce prezes d/s sportowych
LECH KOSTRZEWA — v-ce prezes d/s sekcji
ZBIGNIEW GARUS — członek zarządu.

*

W dniach 9 i 10 marca na Malej Kopie w Karpaczu odbyły się I Mistrzostwa Polski Politechnik w narciarstwie alpejskim. Organizatorem i gospodarzem imprezy, nad którą protektorat objął JM Rektor Tadeusz Porębski był KU AZS Politechniki Wrocławskiej. W impreze tej I miejsce zdobyła POLITECHNIKA WROCŁAWSKA — 71 pkt, II AGH — 57 pkt, III Politechnika Gdańska — 51 pkt. Drużyna nasza wystąpiła w składzie: *kobiety*: Krystyna Syczewska, Anna Nasiłowska, Danuta Simper; *mężczyźni*: Maciej Janik, Jacek Gmerek, Wojciech Koza-czyński, Jerzy Fiałkiewicz.

Drużyna spisała się na medal, a przygotował ją z-ca kierownika Studium WF mgr Lesław Kucharski.

Liga Międzywydziałowa

Od początku roku akademickiego w każdą sobotę w Hali Ludowej (sala sportowa) toczą się rozgrywki LIGI MIĘDZYWYDZIAŁOWEJ naszej Uczelni, w konkurencjach siatkówki i koszykówki, szachach, piłce nożnej, lekkoatletyce i judo (w miesiącach cieplejszych). Biorą w niej udział drużyny z każdego wydziału. Po pięciu rundach najlepsi i najbardziej waleczni okazali się siatkarze z wydziału Elektrycznego i koszykarze z wydziału Mechaniczno-Energetycznego w I grupie.

W II grupie w siatkówce prym wiodą studenci wydziału Mechaniczno-Energetycznego a koszykówce Górniczy!!!

Najbardziej aktywni są organizatorzy z Górniczego, Mechaniczno-Energetycznego, Elektrycznego i Informatyki — zarówno przy organizowaniu zespołów jak i zaciąganiu kibiców.

Nieco gorzej spisują się organizatorzy z Budownictwa Lądowego i Inżynierii Sanitarnej, nie mówiąc już o wydziale Architektury, który ze względu na absolutną opieszałość został wyłączony z Ligi.

Atmosfera rozgrywek jest iście sportowa. Dlatego zapraszamy, wołamy i grzmiemy: **GNAJCIE NA LIGĘ MIĘDZYWYDZIAŁOWĄ DO HALI LUDOWEJ I BOISKA STADIONU AZS-u!!! NA PEWNO ZOBACZYCIE PUCHAR PRZECHODNI REKTORA POLITECHNIKI WROCŁAWSKIEJ, O KTÓRY TRWA WALKA!!!**

Liga międzywojewódzka

Zespół piłki ręcznej Politechniki Wrocławskiej prowadzony przez mgr B. RUSOWICZA po I rundzie znajduje się na I miejscu. Sza! Po cichu myślimy o drugiej lidze (II LIGA!!!)

Liga międzyuczelniana

Sprawnie i bez porażek dla naszych drużyn przebiegają rozgrywki w Lidze Międzyuczelnianej. Dotyczy to zespołu siatkówki męskiej prowadzonego przez mgr Cz. SZUKSZTO i zespołu koszykówki męskiej prowadzonego przez mgr L. MAZURĄ. Trzymajmy się tak dalej!!

Informacje drobniejsze ale skali ogólnopolskiej

W dniach 7—8 kwietnia dwa zespoły siatkówki: męski i żeński wyruszają na TURNIEJ KOSMICZNY do Poznania! Pomyślnych „lotów”!

*

Mistrzostwa Polski Politechnik w KOSZYKÓWCE kobiet i mężczyzn odbywają się w dniach 28.IV — 5.V.73 r. w Gliwicach.

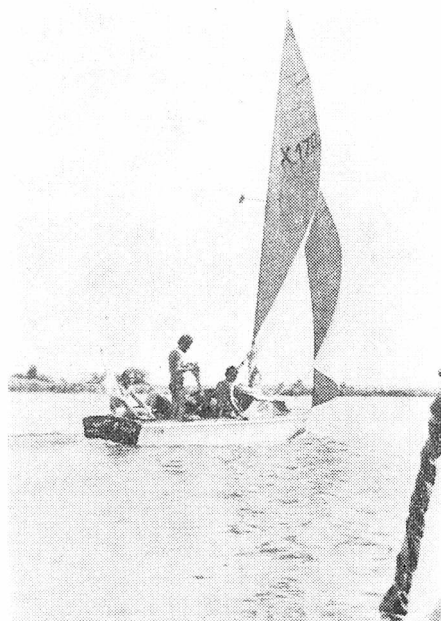
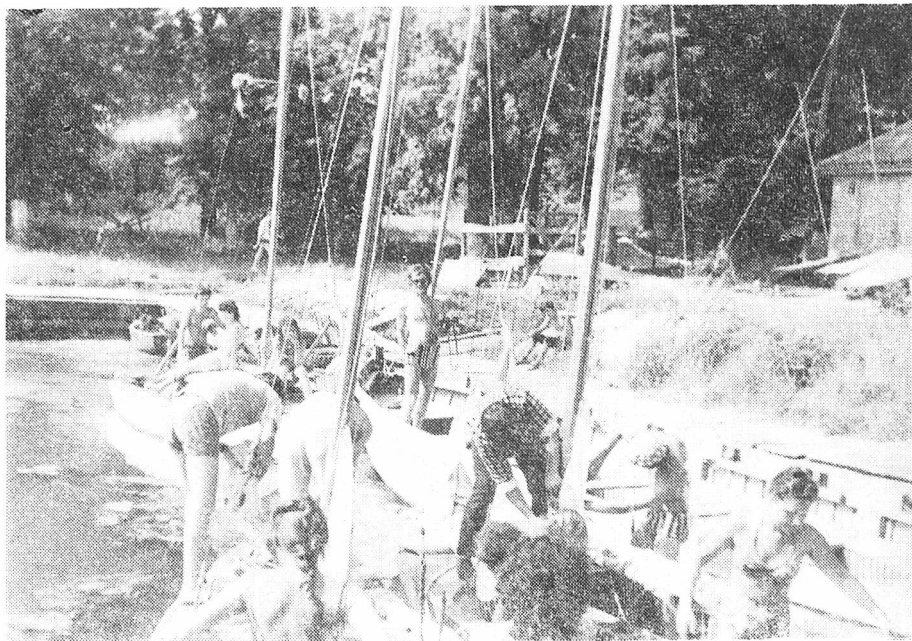
*

Ogólnopolski Turniej Białej Wieży odbędzie się tym razem we Wrocławiu — wiosną, w którymś z gościnnych klubów studenckich ewentualnie na „DREPTAKU”.

PTTK

Największa ilość członków Oddziału PTTK przy Politechnice bierze udział w imprezach organizowanych przez Komisję Turystyki Górskiej, której przewodniczącym jest obecnie dr Andrzej Jabłoński. Nic dziwnego, przecież góry pociągają najbardziej ludzi zafascynowanych naturą, a bliskość Sudetów sprawia, że właśnie tam najłatwiej odetchnąć świeżym powietrzem i nasycić wyobraźnię widokiem pokonywanych pasm górskich.

Tradycyjnie, od wielu już lat, wiosną, latem i jesienią odbywają się krótkie, sobotnio-niedzielne wycieczki w Sude-



ty. Każdorazowo uczestniczy w nich 10-20 osób spragnionych czynnego wypoczynku i oczywiście nowych zakątków — nowych szlaków. Wycieczki te prowadzone są przez doświadczonych turystów, przewodników i przodowników GOT-u, którzy przekazują uczestnikom ciekawe informacje o odwiedzanych terenach.

Oprócz tych krótkich wycieczek w Sudety, Komisja Turystyki Górskiej organizuje w okresie wakacji obozy wędrowne w innych ciekawych grupach górskich. Również w tym roku planujemy zorganizowanie dwóch obozów, z których jeden odbędzie się w Bieszczadach, a drugi w sierpniu w Tatrach.

W ubiegłym roku powróciliśmy do organizacji rajdów. Ponieważ studenci

mają szereg własnych dużych imprez, nasze rajdy przeznaczamy dla pracowników Uczelni. Ubiegłoroczny „I Rajd Pracowników Politechniki” odbył się w czerwcu z zakończeniem w Mieroszowie. W trakcie rajdu przeprowadzono współzawodnictwo międzyinstytutowe, w którym nagrodą był tzw. „Pieńnik Przechodni Prezesa Oddziału”. Stał się on łupem Instytutu Chemii Nieorganicznej i Metalurgii Pierwiastków Rzadkich, który wyprzedził Instytut Chemii i Technologii Nafty i Węgla. Również w tym roku na początku czerwca planujemy zorganizowanie drugiego Rajdu Pracowników. Szczegóły o nim podamy w następnym numerze „SIGMY”.

MAREK KUBICKI

Dział Ochrony Patentowej P.W. informuje...

W ubiegłym roku w Dziale Ochrony Patentowej zgłoszono 129 nowych rozwiązań technicznych, które kwalifikują się do opatentowania. W rozmowie z kierownikiem działu mgr inż. Bogusławem Rozmusem, dowiedzieliśmy się, że co do ilości zgłoszeń zajmujemy w kraju drugie miejsce po Politechnice Warszawskiej. Jednak ta ostatnia, choć zgłosiła 146 wniosków, to zatrudnia dwukrotnie większą ilość pracowników. Stąd konkluzja, iż posiadamy największy w kraju „wskaźnik wynalazczości” — 13 pracowników naukowych na jedno nowe rozwiązanie. W roku 1972 udzielono Politechnice 72 patenty i 8 świadectw ochronnych na wzory użytkowe. W sumie rok ubiegły zamknęto pokaźną liczbą 209 nowych rozwiązań technicznych, które tłumaczone na wiele języków obcych sławią polską myśl techniczną, świadczą o jej rozwoju.

A oto jaki jest udział poszczególnych instytutów w tym dorobku: Instytuty I-24 i I-8 otrzymały po 11 patentów. I-27 — 9, I-28 — 7 oraz I-13 — 5. Najwięcej zgłoszeń w ubiegłym roku zanotowały Instytuty: I-24 — 16 I-27 i I-28 po 15, I-16 — 13, I-8 — 9, I-21 — 8, I-20 — 7 oraz I-13 — 6.

Majk

Wystawa dorobku edytorskiego P.W.

W dniach od 12 do 17 marca 1973 r. w Gmachu Głównym Politechniki Wrocławskiej odbyła się Wystawa Wydawnictw Politechniki Wrocławskiej. Ekspozycja, zawierająca ok. 300 wybranych tytułów, jest przeglądem dotychczasowego, przeszło pięcioletniego dorobku edytorskiego Politechniki Wrocławskiej.

Szczególnie poważne miejsce na wystawie zajmuje produkcja roku 1972 i najnowsza, będąc odzwierciedleniem przemian w dziedzinie potrzeb oraz aktualnej polityki

wydawniczej Szkoły, w wyniku której powołano obcojęzyczne wydawnictwa periodyczne o zasięgu międzynarodowym, komunikaty, raporty, informatory dydaktyczne itp.

Wystawa daje pojęcie o aktualnym poziomie i różnorodności form edytorskich, zaspokajających naukowe i dydaktyczne potrzeby Szkoły.

Oto kilka danych liczbowych, które ukazują rozmiary produkcji:

— roczna produkcja w arkuszach wydawniczych

1968 — ok. 350,
1970 — ok. 900,
1972 — ok. 1800,
1973 — plan — 2525 a.w.

Rok 1972 — 99 tytułów prac naukowych i czasopism, ponad 70 tytułów skryptów oraz ponad 30 tytułów wydawnictw informacyjnych na potrzeby Szkoły.

Z żalem zawiadamiamy, że odszedł od nas MARIAN REHOROWSKI dr hab. inż. architekt, docent w Instytucie Historii Architektury Sztuki i Techniki Politechniki Wrocławskiej, były Kier. Zakładu Historii Architektury Wnętrz, wielokrotnie odznaczany i nagradzany, autor kilkudziesięciu oryginalnych publikacji naukowych, wychowawca wielu pokoleń młodych architektów, człowiek prawy i szlachetny.

NASI NAJLEPSI



JAN BIEN — V roku Budownictwa Lądowego, Instytut Inżynierii Lądowej. Jest stypendystą naukowym i ma nadzieję pozostać po studiach na uczelni (nie wyobraża sobie rozstania ze środowiskiem akademickim). Średnia jego ostatniej sesji — 5,0, a trzeba dodać, że Jan jest na specjalności „Mosty” — jak twierdzi on i wielu jego kolegów — jednej z najtrudniejszych, ale i dającej największą satysfakcję, specjalności wydziału.

Pracuje w Zakładzie Doświadczalnym Instytutu. Wiele czasu poświęcał pracy społecznej, był v-ce przewodniczącym Rady Instytutowej ZSP.

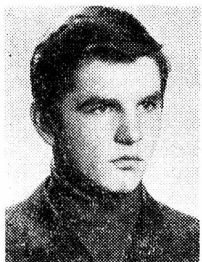
Jego pasją są góry i zagle i dlatego w czasie wakacji jest nieuchwytny (prawie jak wiatr).



MICHAŁ BOGACKI — IV rok wydziału Mechaniczno-Energetycznego, Instytut Techniki Ciepłej i Mechaniki Płynów.

Jak wielu kolegów z tej rubryki Michał od I roku rozpoczynał swoją działalność społeczną. Początkowo jako przewodniczący grupy, ale już od II roku pracował w RU ZSP jako pełnomocnik Komisji Kultury d/s filii, pełnił także obowiązki sekretarza Komisji Kultury. Pracował jednocześnie w instytutowym kole SNS, a obecnie jest sekretarzem Zarządu Uczelnianego SNS.

Osiąga bardzo dobre wyniki w nauce: średnia zaliczeń — 4,3 a egzaminów 5,0. Jest stypendystą naukowym. Swoją wolny czas poświęca na dobry film i książkę — one dają mu największe zadowolenie. Uważa, że dobra znajomość swojego kraju nigdy nie zaszkodzi, dlatego już teraz myśli o 2-tygodniowej wędrowce po Polsce — oczywiście auto-stopem (jak to czyni od kilku lat).



ZDZISŁAW OLEJCZYK — III rok Wydziału Elektroniki, Instytut Metrologii Elektrycznej. Chciałoby się powiedzieć, że jego zainteresowanie — miernictwo wielkości nieelektrycznych — pokrywają się z kierunkiem studiów i chyba dlatego Zdzisław osiąga tak dobre wyniki w nauce. Od 6 semestru — zresztą studiując według indywidualnego programu studiów (Politechnika oraz Akademia Rolnicza) — z naciskiem na hydrologię i metrologię.

Ale, że nie samą nauką człowiek żyje... interesuje się muzyką (od poważnej do big beatu), teatrem, tańcem towarzyskim, zjawiskami polityczno-społecznymi w świecie współczesnym (mam nadzieję, że pewna zielonooka blondynka nie należy do tych zjawisk). Bakcyłem społecznego działacza zaraził się w harcerstwie, a stopień podharcemistrza ZHP świadczy o dużym uznaniu.

Od drugiego roku pracuje w Zarządzie Instytutowym ZMS a także w Kole Nauk Politycznych.



STEFAN BRACHMAŃSKI — III rok Wydziału Elektroniki, Instytut Telekomunikacji i Akustyki.

Złośliwi podpowiadali mi, że jeżeli Stefana nie ma w swoim pokoju w akademiku, to jest albo w pokoju nauki albo w teatrze lub kinie. Jest w tym powiedzeniu ziarno prawdy, gdyż członkiem Towarzystwa Przyjaciół Teatru się nie zostaje, nie będąc miłośnikiem tego rodzaju sztuki. Z przyjemnością

także przegląda i uzupełnia swoje klasery filatelistyczne. Interesuje się muzyką poważną i jazzem.

Pełni funkcję v-ce przewodniczącego Zarządu Instytutowego ZMS oraz przewodniczącego Komisji Nauki Rady Mieszkańców DS T-2. Średnia ocen 4,2. Jest członkiem SNS.



JERZY KALETA — IV rok Wydziału Mechanicznego, obecnie w Instytucie Materiałoznawstwa i Mechaniki Technicznej. Laureatem Złotego Medalu im. Kopernika został w Instytucie Konstrukcji i Eksploatacji Maszyn. Złoty Medal otrzymuje się za powtórne zdobycie tytułu Najlepszego Studenta Instytutu. Średnia okresu studiów ok. 4,5. Choć Jurek twierdzi, że jest domatorem, znając go osobiście podejrzewam, iż w domu mówią o nim coś wręcz

przeciwnego. Organizacja ZSP pochłonięła go prawie całkowicie. Proces wychowania, miejsce organizacji w tym procesie, szeroko pojęte sprawy kultury, sprawy zmian modelowych w ruchu młodzieżowym — oto niektóre z problemów zaprzatających myśl codzienną. Od organizacji pozwała mu się oderwać nauka, myśli nawet o dodatkowych studiach humanistycznych („taki szlif jest potrzebny przy wyjąłwiających studiach technicznych”).

Nie pamięta już jak wyglądają wakacje „na luzie”, ma zamiar poważnie „przysiąc” do języka obcego i nastąpi to „zaraz” po Kongresie ZSP (jest delegatem), „zaraz” po akcji „Lato 73”, „zaraz” po...

Choć pogodny, na codzień denerwują go czasami różne „dziwy” typu formularza, na którym należy podać uzasadnienie próby o nagrodę rektorską.

Jako jeden z nielicznych szefów RU ZSP Jurek wpisuje jeszcze przy swoim nazwisku magiczne słowo „kawaler”.

(włód)



Fot. J. OLEK



DLACZEGO nie chce mi się uczyć?

Poważne potraktowanie pytania jest równoznaczne z motywacją niepoważnego traktowania studiów. A więc po kolei.

Uważam, że studenci a więc ludzie w miarę zdolni gotowi są do studiowania w „każdych warunkach”. Ale bywają warunki czy może okoliczności, które obniżają efektywność studiowania, powodują zmianę emocjonalnego

stosunku studenta do przedmiotu studiów. Pojawiają się one w trakcie procesu nauczania i nie zawsze są efektem tak zwanych sił wyższych. Piszę nie zawsze, bo wspólny interes obu biorących w procesie nauczania stron, powinien być celem — prawie świętym:

„Nasze siły — nasze umysły dla dobra naszej Ojczyzny”.

Tych kilka poniższych uwag nie zapisuję „na zapas” — są one wynikiem moich osobistych spostrzeżeń. Dowodem na to, że nie wszystko gra, że są „okoliczności” powodujące antysympatie do przedmiotu i wreszcie tragiczne zdanie: „Nie chce mi się uczyć”.

1. Nigdy nie brakuje starszych kolegów, tych którzy już wcześniej mieli okazję zapoznać się z tematem. Podczas rozmów „orientujących” — zwykle na początku każdego semestru, dowiadujemy się, że „uczyć się nie warto, bo nigdy ci to nie będzie potrzebne”. I chociaż przedmiotów, których dotyczy ta zła sława jest niewiele, z reguły są one „odpuszczane” przez studentów zadowolonych z wpisu „zal” lub „dost”. A przecież można przekonywująco wytłumaczyć przydatność przedmiotu. Bo jeżeli nie można, to po co...?

2. Wiemy ile szkody może wyrządzić zły przykład, a takim złym przykładem może być niedouczony asystent. Zdarza się, że asystentami z godzinami dydaktycznymi zostają świeżo upieczeni magistrowie. Komu to potrzebne — chłopak zażenowany nie mniej niż grupa, która nie wie, czy zwracać się per panie magistrze czy po imieniu; a ponadto wiadomości, które wystarczają przy zdawaniu egzaminu są stanowczo nie wystarczające do prowadzenia ćwiczeń. Rok czy dwa lata czasu na pogłębianie wyniesionej ze studiów wiedzy wpłynęłaby korzystnie na stosunki w sali wykładowej, a tymczasem może lepiej zatrudnić kogoś z przemysłu, czy z biura — po prostu fachowca?

3. Nieprzygotowane wykłady i prowadzenie ich w sposób niekomunikatywny nie powinny mieć miejsca na wyższej uczelni. A jednak... ileż to razy wspominamy pana dr X, doc. Y, a nawet profesora Z, którzy o dydaktyce mają dość mgliste pojęcie, a mimo to za dydaktyków są uważani. Są to na ogół fachowcy w swojej naukowej specjalności, ich wielkie zasługi, to twórcze dokonania w laboratoriach badawczych. Może po prostu nie mają czasu na prowadzenie zajęć dydaktycznych?

4. Wydaje mi się, że im gorzej wyrażają się studenci o „jakości” nauczyciela, tym bardziej rygorystycznie i surowo podchodzi on do swojego przedmiotu. A to poprzez: przesadne sprawdzanie obecności na wykładach, ćwiczeniach konsultacyjnych; skrupulatne przestrzeganie (z zegarkiem w ręku) terminów zaliczeń i konsultacji; wprowadzanie własnych regulaminów odnośnie wykładanego przedmiotu. Im niższa wartość „produktu” — tym większa cena!

Tak w kilku słowach określić by można to zjawisko i aż dziw bierze, że przecież istnieją wykładowcy (stanowią cni znakomitą większość), u których nawet przy bardzo wysokich wymaganiach uczymy się trudnego materiału, aby w terminie i z przyjemnością zdobywać „czwórki” i „piątki”.

(Wit)

Fot. J. BORTKIEWICZ



Erich mnie obserwuje. Ja też z niego nie spuszczam oka. Obaj trzymamy w ręku broń z postanowieniem, że tej broni użyjemy, raniąc jeden drugiego. Nasza broń jest nabita. Wypróbowane w czasie długich treningów, od razu po ćwiczeniach starannie wyczyszczone pistolety trzymamy teraz przed sobą, rozgrzewając chłodny metal. Na odległość taka pukawka prezentuje się całkiem niewinnie. Czy nie można by trzymać w ten sposób wiecznego pióra albo ciężkiego klucza i rozczapierzoną czarną rękawiczką wycisnąć z płochliwej ciotki krzyk? Nigdy nie powinna dojrzeć we mnie myśl, że broń Ericha mogłaby być straszakiem, że mogłaby być niewinną zabawką. Wiem też że Erich ani przez moment nie wątpi w powagę mojego narzędzia. W tym celu jakieś pół godziny temu rozebraliśmy pistolety, wyczyszczyliśmy je, ponownie złożyli, załadowali i odesbezpieczyli. Nie jesteśmy marzycielami. Na miejsce naszej nieuniknionej operacji wyznaczaliśmy sobie domek weekendowy Ericha. Ponieważ ten jednopiętrowy budynek stoi w ponad godzinnej odległości od najbliższego przystanku kolejowego, a więc dość ustronnie, można przyjąć, że jakiegokolwiek niepożądanego ucho — w ścisłym znaczeniu tego słowa — będzie daleko od wystrzału. Pokój gościny opróżniliśmy, a obrazy — w większości sceny myśliwskie i martwe natury z dziczyzną — zdjęliśmy ze ścian. Kule przecież nie powinny ugodzić krzesel, połyskliwych komod i bogato obramowanych malowideł. Nie chcielibyśmy też trafić w lustro, czy kaleczyć porcelany. Uwzięliśmy się tylko na siebie.

Obaj jesteśmy mańkutami. Znamy się ze Związku. Wiecie państwo o tym, że mańkuci tego miasta — jak zresztą wszyscy, którym doskwiera wspólne kalectwo — utworzyli Związek. Spotykamy się regularnie i usiłujemy ćwiczyć nasz drugi — niestety tak niezręczny chwyt. Jakiś czas udzielał nam lekcji pewien usłużny praworęki. Niestety, teraz już nie przychodzi. Panowie z zarządu krytykowali jego metodę nauczania i uznali, że członkowie Związku powinni przystosowywać się o własnych siłach. Tak więc uprawiamy wspólnie — nie narzucone nam, nasze własne i dla nas samych wynalezione — gry towarzyskie jak i próby zręcznościowe, w rodzaju: praworęcznego nawlekania, nalewania, otwierania i zapinania. W naszym statucie zwie się to: Nie spoczniemy, dopóki prawa nie będzie jak lewa.

Jakkolwiek owa sentencja brzmi pięknie i odważnie, to jest ona przecież wyraźną bezmyślnością. W ten sposób nie damy rady. A ekstremistyczne skrzydło naszego Związku już od dawna żąda skreślenia tej sentencji a zastąpienia jej zdaniem: Chcemy być dumni i nie wstydić się naszego wrodzonego, leworęcznego chwytu.

Zapewne i to hasło jest niewłaściwe a jedynie patos i pewna szlachetna namiętność czynią te słowa godnymi przebaczenia. Obaj — to jest Erich i ja — należymy do ekstremistycznego skrzydła i wiemy dobrze, jak głęboko zakorzeniony jest nasz wstyd. Dm rodzinny, szkoła, później okres służby wojskowej, nie ułatwiały nam ukształtowania takiej postawy, dzięki której z godnością znosilibyśmy tę bląhą dziwaczność — bląhą w porównaniu z innymi, szeroko rozpowszechnionymi nienaturalnościami. Zaczęło się to od dziecięcego podawania rączki. Te ciotki, wujkowie, przyjaciółki matki, koledzy ojca — owo niezgłębione okrutne zdjęcie rodzinne, zaciemniające horyzont dzieciństwa. A wszystkim trzeba było podawać rękę: „Nie, nie tę niegrzeczną rączkę, tę uprzejmą. Podaj właściwą rączkę, dobrą rączkę, mądrą, zgrabną, jedyną prawdziwą, prawą rączkę!”

Miałem szesnaście lat i po raz pierwszy obmacywałem dziewczynę. „Ojej — ty jesteś mańkutem!” — powiedziała zawiedziona i wyszarpnęła moją rękę zza bluzki. Takie wspomnienie pozostaje, a jeśli mimo to usiłujemy owe hasło — Erich i ja jesteśmy jego autorami — wprowadzić do naszej księgi, to jedynie jako próbę określenia nieosiągalnego zapewne ideału.

Erich zacisnął teraz wargi i zwęził oczy. Ja czynię to samo. Nasze mięśnie policzkowe drgają, napręża się skóra na czole, zwężają nasze nozdrza. Erich wciela się teraz w postać aktora filmowego, którego poczynania są mi bliskie z wielu awanturniczych scen. Czy mogę przypuszczać, że i do mnie przystaje owo fatalne podobieństwo do tego dwuznacznego, ekranowego bohatera? Chyba okropnie wyglądamy; to też jestem zadowolony, że nikt nas nie podpatruje. Czyżby najbardziej teraz niepożądany, naoczny świadek nie mógł podejrzewać, że dwóch nazbyt romantycznych z natury młodych mężczyzn chce się pojedynkować? Że posiadają jedną i tę samą rozkoszniczkę, albo jeden drugiego oczernił. Albo też rozstrzygają trwające od pokoleń spory rodzinne, sprawy honoru, krwawe igraszki na śmierć i życie. Tak patrzą na siebie tylko wrogowie. Spójrzcie na te wąskie, bezbarwne wargi, te bezlitosne nozdrza. Jakże zięją nienawiścią ci poszukiwacze śmierci.

Jesteśmy przyjaciółmi. Mimo uprawiania tak różnych zawodów — Erich jest kierownikiem działu w domu towarowym, ja wybrałem sobie dobrze płatny zawód mechanika precyzyjnego — posiadamy wiele wspólnych zainteresowań, stale koniecznych do podtrzymywania przyjaźni. Erich należy dłużej ode mnie do Związku. Przypominam sobie dobrze ten dzień, kiedy zakłopotany i nazbyt odświętnie ubrany, wszedłem do ulubionego lokalu jednostronnych; Erich wyszedł mi stremowanemu naprzeciw i wskazał szatnię — jego zachowanie było taktowne i pozbawione owej uciążliwej ciekawości — a potem powiedział: „Pan z pewnością do nas. Niech się Pan nie krępuje, jesteśmy tu po to, aby sobie wzajemnie pomagać”.

Powiedziałem celowo „jednostronni”. Tak nazywamy się oficjalnie. Ale i to określenie, jak i znaczna część statutu, wydają mi się niefortunne. Nazwa ta nie określa dość precyzyjnie tego, co nas powinno jednoczyć, a właściwie — wzmacniać. Na pewno byłoby lepiej, gdybyśmy się nazwali krótko — lewi; albo dźwięczniej — lewi bracia. Państwo domyślacie się, dlaczego musieliśmy od tego pomysłu odstąpić i dać się zarejestrować pod tamtą nazwą. Nie byłoby czegoś bardziej błędnego, a w dodatku i obraźliwego od porównania nas z owymi, zapewne godnymi pożałowania ludźmi, którym natura poskąpiła tej jedynej ludzkiej cechy — spełniania miłości. Wręcz przeciwnie, jesteśmy w pełni zróżnicowanym zespołem i śmiem twierdzić, że nasze panie modą, wdziękiem i dobrymi manierami górowałyby nad niejedną praworęczną, a gdyby się tak bacznie przyjrzeć, dostrzeżony obraz obyczajowy pozwoliłby niejednemu księdzu zatroskanemu o zbawienie dusz swojej parafii krzyknąć z ambony: „Ach, gdybyście wszyscy byli jako ci mańkuci!”

Ta fatalna nazwa Związku. Nawet nasz przewodniczący — niestety, wyższy urzędnik Miejskiej Rady, kierujący Urzędem Ziemskim — o nieco zbyt patriarchalnych poglądach, przyznaje od czasu do czasu, że nazwa jest niedobra, gdyż brak w niej owego „lewy”; Przecież nie jesteśmy ani jednostronni, ani jednostronnie nie myślimy, nie doznajemy i nie postępujemy.

Zapewne i względy polityczne przemawiały za tym, że po-
niechaliśmy lepszych projektów i nazwaliśmy się tak, jak
zasadniczo nigdy nie powinniśmy się nazywać. Odkąd
członkowie parlamentu skłaniają się — wychodząc od cen-
trum — w jedną lub drugą stronę, a krzesła ich siedziby
tak ustawiono, że sam układ miejsc zdradza polityczną sy-
tuację naszej ojczyzny, stało się zwyczajem, że artykulowi
czy przemówieniu, w którym użyto więcej niż raz słówka le-
wy, przypisuje się niebezpieczny radykalizm. No, ale w tym
miejscu należy zamilknąć. Jeśli jakiś Związek w naszym
mieście obywateli się bez politycznej działalności, a istnieje
tylko jako towarzystwo wzajemnej adoracji, to właśnie my.
Aby raz na zawsze położyć kres wszelkim podejrzeniom
o erotycznych odchyleniach, należy krótko nadmienić, że
spośród dziewcząt naszej młodzieżowej grupy wybrałem swo-
ją narzeczoną. Z chwilą, gdy tylko załatwimy sobie miesza-
nie, zamierzamy się pobrać. I jeśli któregoś dnia zniknie
cień, rzucony na moje sumienie przez ów pierwszy kontakt
z płcią odmienną, Monice będę wdzięczny za to dobrodziej-
stwo.

Nasza miłość musiała uporać się nie tylko z problemami
powszechnie znanymi, opisanymi w licznych książkach, ale
musieliśmy też zranić nasze manualne cierpienia, nadać im
blasku, abyśmy mogli osiągnąć nasze małe szczęście. Po tym,
gdy w pierwszym zrozumiałym zakłopotaniu próbowaliśmy
się kochać praworęcznie, dostrzegliśmy, jaka ta nasza głu-
cha strona jest niewrażliwa — i odtąd pieściliśmy się już
tylko prawidłowo — to znaczy tak, jak nam Pan przykazał.
Nie ujawnię za dużo i mam nadzieję, że nie popełnię niedy-
skrecji, jeśli napomknę, że to właśnie moja kochana Monika
dodaje mi siłę na cierpliwe wyczekiwanie i pozwala dotrzy-
mać mi przyrzeczenia. Od razu po pierwszym wspólnym ki-
nie musiałem przyrzec, że uszanuję jej dziewictwo do czasu,
kiedy założymy sobie obrączki — tu z przykrością ustępuję,
potwierdzając niedogodność zwyczaju — na serdeczny palec
prawej ręki. A przecież w katolickich krajach południa nosi
się złote znamię małżeństwa na lewej — widocznie w tych
słonecznych strefach serce bardziej rządzi od nieubłagane-
go rozumu. Możliwe, że chcąc u nas w sposób dziewczęcy
dokonać rewolty, aby udowodnić w jak jednoznacznej for-
mie potrafią argumentować kobiety, kiedy ich sprawy wy-
dają się być zagrożone, młodsze panie naszego Związku w
uciążliwych nocnych godzinach wyhaftowały na naszym zie-
lonym sztandarze sentencję: Serce bije z lewej strony.

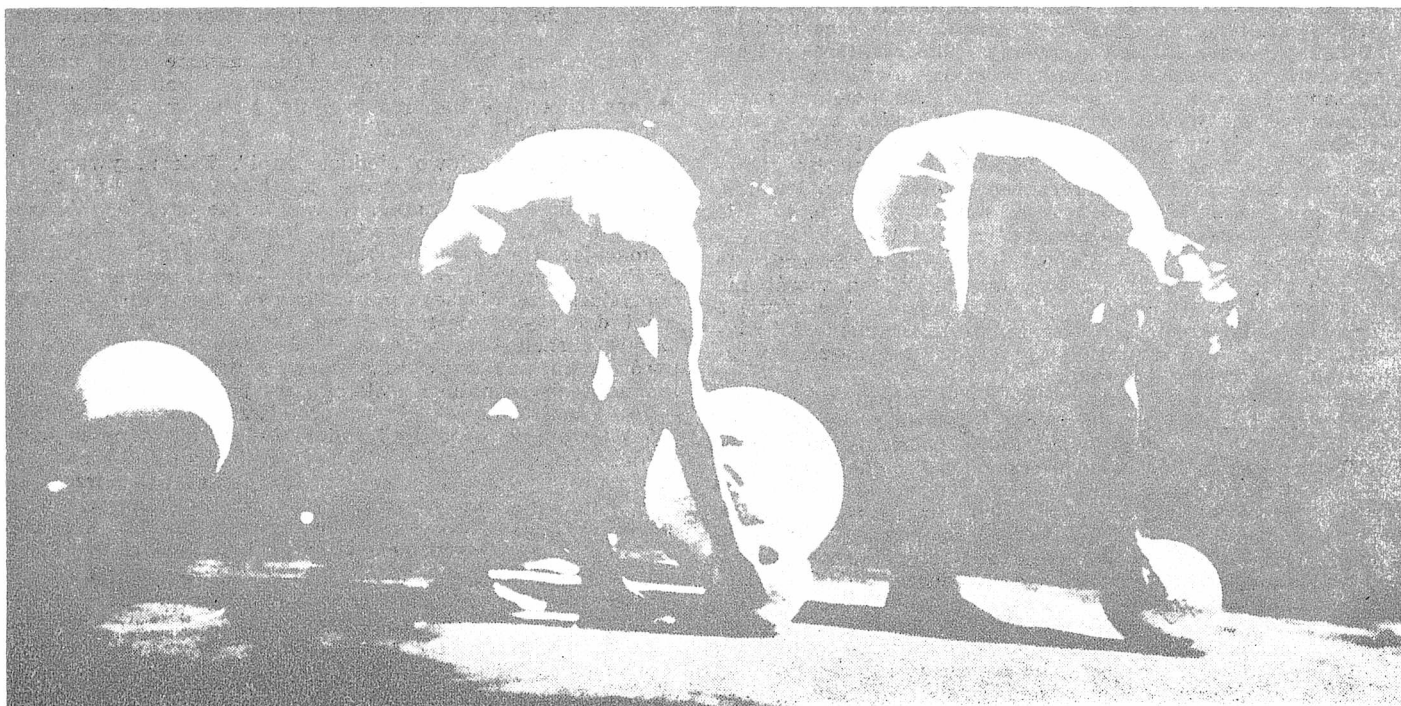
Już nie raz omawialiśmy z Moniką zaręczyny, zawsze jed-
nak dochodziliśmy do tego samego wniosku: nie możemy so-
bie na to pozwolić, aby wobec ciemnego a często i złośli-
wego świata, uchodzić za zaręczonych, gdy już od dawna je-
steśmy jak gdyby małżeństwem dzieląc wspólnie dole i nie-
dole. Monika często płacze z powodu tej zaręczynowej his-
torii. Mimo to pocieszamy się myśląc o tym naszym dniu,
kiedy liczne prezenty, bogato nakryte stoły i uroczyste ce-
remonie, zapewne zetrą ów lekki nalot smutku.

Teraz Erich znowu ukazuje swoją dobrą, normalną twarz.
Ja też się rozluźniam, chociaż jeszcze przez krótki okres
czasu odczuwam szcękoscurek. W dodatku jeszcze ciągle
drgają mi skronie. Nie, z całą pewnością z tymi grymasami
nie było nam do twarzy. Nasze spojrzenia spotykają się sta-
teczniej i stąd też nabieram odwagi; celujemy. Każdy z nas
bierze na cel wiadomą rękę drugiego. Jestem zupełnie pew-
ny, że nie spudłuję; na Erichu też mogę polegać. Zbyt długo
ćwiczyliśmy, spędzając prawie każdą wolną minutę w opu-
szczonej zwirowni, położonej na skraju miasta, aby dziś,
kiedy tak wiele ma się spełnić, zawieść.

Krzykniecie, że to graniczy z sadyzmem — nie, to samo-
okaleczenie. Wiercie mi: te wszystkie argumenty są nam
znane. Nie, żadnego przestępstwa sobie nie zarzucaliśmy.
W tym opróżnionym pokoju stoimy nie po raz pierwszy.
Czterokrotnie wdzialiśmy się tak uzbrojeni i czterokrotnie
opuszczaliśmy pistolety, przerażeni naszym pomysłem. Do-
piero dziś przyszło ośnienie. Ostatnie wydarzenia natury
osobistej jak i życia związkowego uprawniają i zmuszają
nas do tego, aby to uczynić. Po wielu wątpliwościach — po-
stawiliśmy pod znakiem zapytania Związek jak i żądania
ekstremistycznego skrzydła — sięgamy w ostateczności po
broń. Nie możemy dłużej uczestniczyć w tej godnej poża-
łowania sytuacji. Nasze sumienie wymaga tego, byśmy się
odsunęli od zwyczajów związkowych kolegów. Rozpanoszyło
się tam sekciarstwo, a szeregi rozsądnych opanowali odszcze-
pieńcy, a nawet fanatycy. Jedni rozmarzeni są na prawo,
inni zaprzysiężeni na lewo. Teraz — w co nigdy nie chciałem
uwierzyć — przekrzykuje się polityczne frazesy od stolika
do stolika; do tego stopnia pielęgnuje się obrzydliwy kult
zaprzysięgiego leworęcznego wbijania gwoździ, że niejedno
posiedzenie Rady przypomina orszek, która sprowadza się do
tego, aby przez opętane tłuczenie młotkiem doprowadzić się
do ekstazy. Chociaż o tym się głośno nie mówi, a zbyt jaw-
nych wypaczeńców po prostu wykluczono, to i tak nie da
się tego ukryć: owa zboczona i dla mnie niezrozumiała mi-
łość do tej samej płci i wśród nas znalazła zwolenników.
I aby powiedzieć to najgorsze: również moje współzycie
z Moniką na tym ucierpiało. Za często przebywa ze swoją
przyjaciółką, kapryśnym i niepoważnym stworzeniem. Za czę-
sto zarzuca mi opieszałość i złą wolę w związku z ową za-
ręczynową historią, tak iż pozostaje tylko przypuszczenie, że
to jeszcze to samo zaufanie między nami; ta sama Monika,
która obecnie jednak coraz częściej wymyka mi się z rąk.

Erich i ja usiłujemy teraz równomiernie oddychać. Im
bardziej jesteśmy w tym zgodni, tym stajemy się pewniejsi,
że naszym postępowaniem kieruje dobre wycucie. Nie
sądzicie, że to słowa Biblii, które uczą jak wyplenić zło. Jest
to o wiele bardziej żarliwe, nieustające pragnienie osią-
gnięcia prawdy; nawet więcej niż prawdy: wiedzieć jak jest
ze mną, czy mój los jest nieunikniony, czy w ogóle w na-
szych rękach jest możliwość nadania naszemu życiu pra-
widłowego kierunku? Żadnych naiwnych zakazów, przymy-

Fot. M. SIUDYM



kania oczu i tym podobnych chwytów. Chcemy postępować uczciwie, w zgodzie z wolną wolą, bez odsuwania się od ogółu — zacząć na nowo i posiadać szczęśliwą rękę.

Teraz oddychamy zgodnie. Bez dawania sobie znaków, obaj wystrzeliliśmy. Erich trafił, i ja go też nie zawiodłem. Każdy z nas, jak przewidzieliśmy, przestrzelił główne ściegno drugiego tak, że pistolety trzymane nie dość mocno upad-

ły na podłogę, a tym samym dalsze strzelanie nie miało już sensu. Śmiejemy się i tak zaczynamy nasz wielki eksperyment, przystępując do udzielenia sobie pierwszej pomocy — niezdarnie, gdyż teraz zdani jesteśmy tylko na prawą rękę.

Przełożyli:

ERNEST DYCZEK i MARIA OBRĄPALSKA

PRZEBŁYSKI

Henryk Jagodziński

Sanatorium habilitacyjne: lekarze robią prace doktorskie.

*

Gdyby na człowieka trzeba było wprowadzających, byłby kłopot z ludzkością.

*

Róbcie, co chcecie, ale przynajmniej chcecie wiedzieć, co robicie.

*

Ze swoją nienawiścią trzeba się czasem przespać.

*

Zwłaszcza wodę sedową należy brać, jak leci.

*

Na jednego podejrzanego wypadło wielu podejrzliwych.

*

Kaczka — dziwaczka: szcze-kaczka.

*

Uśmiechem nie złagodzisz rozpacz, ale otoczeniu przyjemniej.

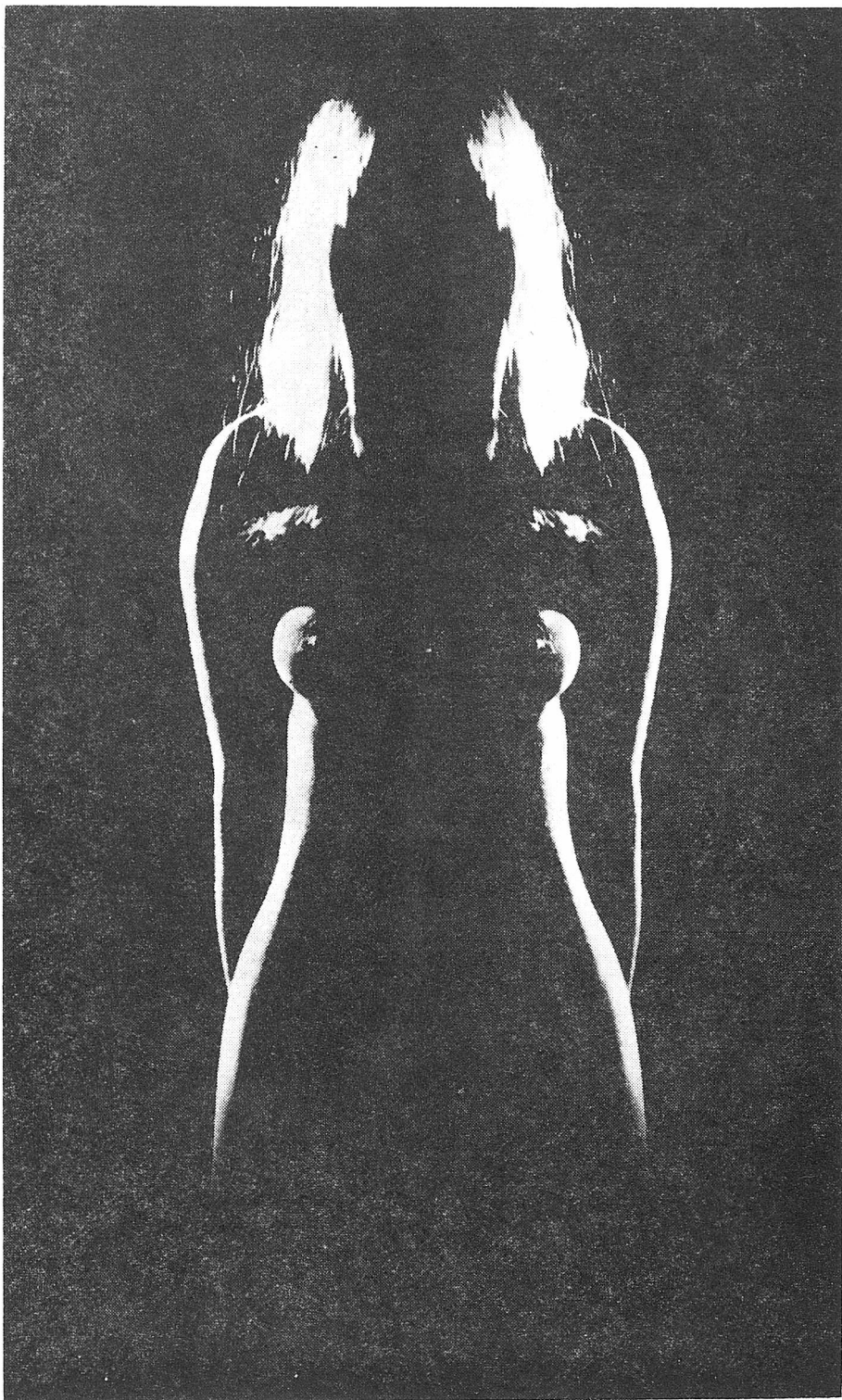
*

Racja nie poparta dowodem świadczy o posiadanym stanowisku.

*

Najgorzej, gdy nie ma czasu na czytanie między wierszami.

HENRYK JAGODZIŃSKI



Fot. J. BORTKIEWICZ

Wydaje Politechnika Wrocławska. Adres Redakcji: Wrocław, ul. S. Janiszewskiego 14 pok. 14/15, tel. 270-51 w. 240 (poczta wewnętrzna: P9/S). Redaguje zespół w składzie: ADAM BUCHELT (z-ca redaktora naczelnego), WANDA DRYLL (sekretarz redakcji), ERNEST DYCZEK (redaktor techniczny), JERZY GIRULSKI (redaktor naczelnny), SŁAWOMIR HULANICKI, WOJCIECH KOZAK, JERZY MAĆKOWIAK, MAŁGORZATA MI-CHALAK, JANUSZ M. PAWLIKOWSKI (z-ca redaktora naczelnego), MAREK SIUDYM, ZBIGNIEW SZTUBA, STANISŁAW SZULC, JERZY WŁODARCZYK, MARIA WOJCICKA.

Opracowanie graficzne: STANISŁAW RYSZARD KORTYKA
przy współpracy ANDRZEJA KLIMCZAK-DOBRZANIECKIEGO

W parowanego

Każdy siedzący w kole powiada na ucho swemu sąsiadowi, co mu daruje; ten znów, obdarowany, pyta swego drugiego sąsiada, co ma z tym darem zrobić, nie mówiąc co dostał i dostaje odpowiedź również po cichu. Następnie wygłasza co mu darowano i co mu kazano z tem zrobić. Im więcej zachodzi sprzeczności, tem więcej zabawy i śmiechu.

wg MARIA WERYHO

Gry i zabawy towarzyskie

Wyd. M. Arcta w Warszawie 1910 r.



Motto: Tak trudno o literaturę faktu, gdyż nie wszystkie fakty lubią literaturę.

DONOSY

W obronie staruszka

Już od rana coś podszeptywało mi abym zrobił jakiś dobry uczynek. Jaki diabeł mi to podszeptwał — nie wiem. W każdym razie męczyło mnie to bardzo — tym bardziej, że nie wiedziałem, co dobrego można zrobić dla ludzkości. W końcu wpadła mi genialna myśl do głowy. Gdy przeglądałem prasę, zobaczyłem nagłówek wydrukowany czerwonymi literami *Spółeczeństwo pomaga milicji w walce z chuliganami*. Dalej pisało, że Czesław D. pomógł ująć chuliganów napastujących staruszka. Pomyślałem sobie: Pomogę i ja! — i wyszedłem na ulicę w celu znalezienia odpowiedniego staruszka, którego mogliby napaść chuligani. Po kilkunastu minutach zauważyłem interesującego mnie staruszka. Siedział z ciężką torbą, pod której ciężarem ugiął się. Siedział w wytartym szaroburym płaszczu i brudnych butach. Ruszyłem za nim w celu udzielenia mu w odpowiednim momencie niezbędnej pomocy. Ulica, którą szliśmy była pusta. Gdzieś tam a szczególnie nigdzie palily się pojedyncze lampy. Kroki nasze — to znaczy moje i staruszka — głucho stukaly między ponurymi kamienicami. W pewnym momencie staruszek odwrócił się, po czym ruszył dalej do przodu lekko przyspieszając kroku. Przyspieszyłem więc i ja, aby nie stracić staruszka z oczu, gdyż chuligani tylko na to czekają. Szliśmy więc dalej. Staruszek skręcił w prawo ja za nim. Staruszek ponownie obejrzał się w moją stronę. Uśmiechnąłem się do niego. Niech wie, że czuwam nad jego zdrowiem, a kto wie może uchronię go przed kalectwem lub śmiercią. Tu moje marzenia osiągnęły swój szczyt. Nagle staruszek zaczął iść bardzo szybkim energicznym krokiem, a po chwili zaczął biec. Bardzo mu się spieszy pomyślałem i zacząłem biec za nim. Wkrótce zauważyłem chuligana czyhającego na staruszka. Staruszek podbiegł do niego żywo gestykułując i tłumacząc mu coś. Niedoczekanie twoje pomyślałem — nie będziesz bił staruszka. Podbiegłem do niego, na co on zareagował dwoma potężnymi ciosami w szczękę, które od razu położyły mnie na asfalt. Na drugi dzień w gazecie zauważyłem tytuł wydrukowany czerwonymi literami *Spółeczeństwo pomaga milicji w walce z chuliganami...*

S. DROZDA

Złota myśl

Czas skończyć ze stereotypami. Należy zacząć z kwadratypami.

Donos odpowiada:

Józef N. — Na anonimy nie odpowiadamy

Jerzy G. Pyta nas pan czy nowy system stypendialny jest dobry — odpowiadamy: tak.

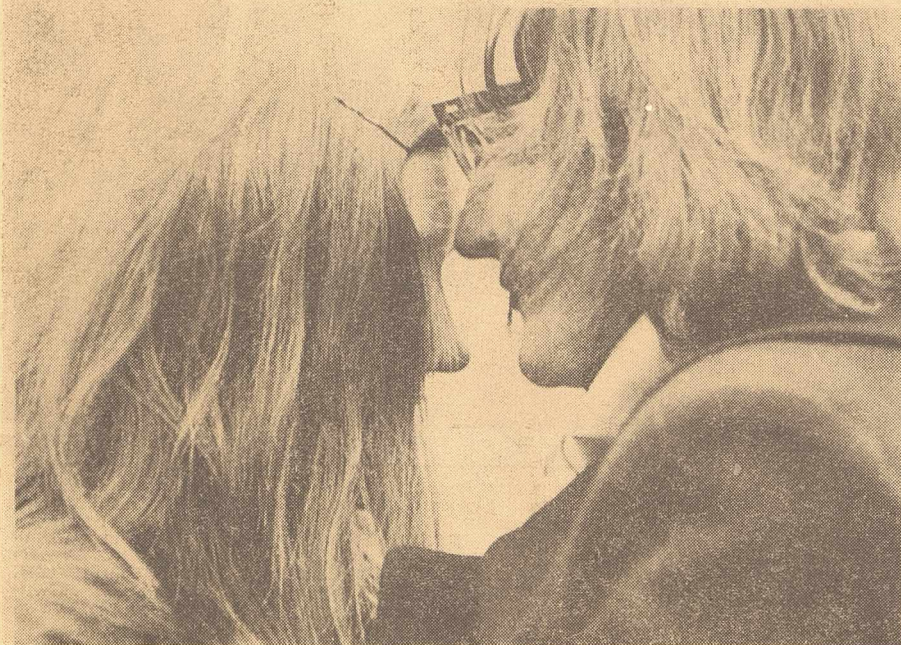
Włodzimierz Z. Na wycieczkę do K.K. nie radzimy — tam sama zgnilizna*). Na IASTE także nie radzimy. Tam trzeba pracować!!! W kraju są o wiele sympatyczniejsze praktyki.

*) Zgnilizna z golizną.

Ogłoszenie drobne

Zakład Prognoz i Niezawodności Układów zatrudni natychmiast dyplomowanych wróżkarzy i astrologów ze stażem pracy w odpowiednich instancjach. Dyskrecja zapewniona.

Doniesienia własne:



Fot. J. BORTKIEWICZ